Dziś w numerze: Noc na rynku w Osieku • Wielka budowa • Be Be na półmetku • Premiera • Mord stulecia • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosy

Nr 31 (393)
7. VIII. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

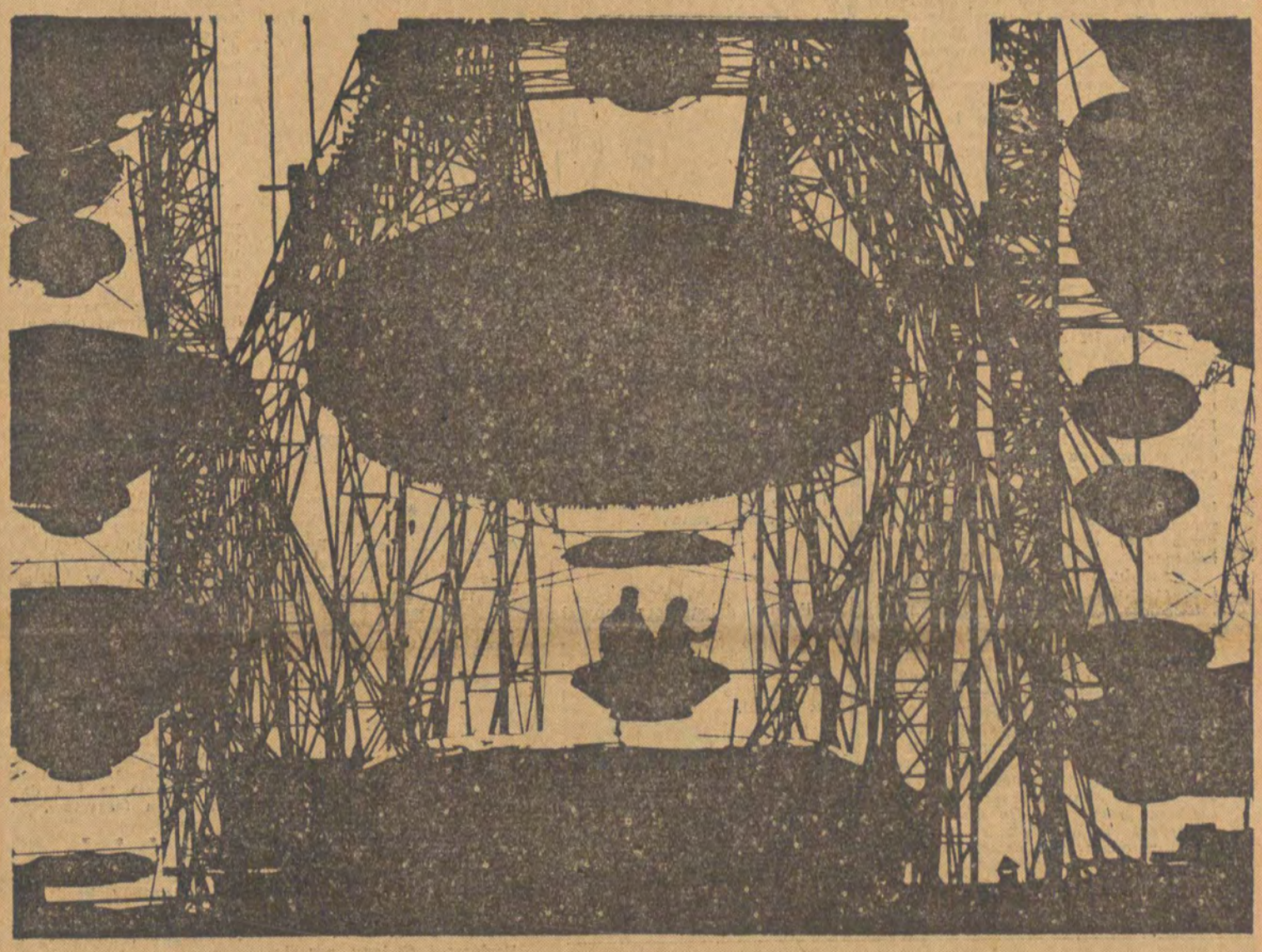

Big-beat czy szaleństwo społecznie niebezpieczne?

17 lipca na stadionie „Lechii" w Gdańsku, gdzie odbywał się koncert muzyki nastolatków, doszło do gorszących zajść młodzieży, słuchaczy koncertu. Jak doniosła prasa codzienna, już przed rozpoczęciem imprezy, publiczność stoczyła walkę o lepsze miejsca na stadionie, potem zaś młodzi, rozgrzani muzyką mocnego uderzenia, zdemolowali stadion, powyginali jak spinacze, stalowe maszty i ruszyli w miasto. Kilkanaście osób zostało rannych, cztery osoby z ciężkimi obrażeniami odwieziono do szpitala. Młodzi zdemolowali 3 człony pociągu elektrycznego i wywołali zakłócenia w komunikacji.

Redakcja nasza, stojąc na stanowisku, że problem gorszących zajść na Wybrzeżu wymaga szerszego przedyskutowania, zwróciła się do psychiatry, pedagoga i prawnika z prośbą o ocenę tych zdarzeń. Publikujemy ich wypowiedzi w przeświadczeniu, że zainteresują naszych czytelników, których także zapraszamy do dyskusji.

K. F.

MÓWI: DR ALEKSANDER KAMIŃSKI, DOCENT UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Z uwagi na swoje zainteresowania pedagogika społeczna, uważnie prześledziłem wszystkie doniesienia prasowe o wydarzeniach na koncercie muzyki nastolatków, zastanawiając się jednocześnie, jak do nich mogło dojść. I właściwie nie ulega dla mnie wątpliwości, że najbardziej przyczyniły się do tych zajść niedomagania organizacyjne: zgromadzenie na stadionie jednocześnie około 20 tysięcy młodych ludzi bez żadnej kontroli, brak odpowiedniej straży porządkowej itp. Od początku przecież było wiadome, że młodzi idą tam dla draki. Oni wybrali się tam z trąbkami, gitarami, aby hałasować, podnieśli taki jazgot, że nie było

Dalszy ciąg na str. 4

Możliwości życiowe młodzieży wiejskiej, wychowanej i uczącej się w warunkach trudniejszych, niż jej rówieśnicy z miasta — to zagadnienie wciąż aktualne, w okresie egzaminów wstępnych do szkół średnich i wyższych powszechnie dyskutowane. Problem ten zainteresował naszą redakcję.

Za obiekt badania wzięliśmy grupę młodzieży składającej egzamin wstępny do Technikum Rolniczego w Bykach koło Piotrkowa. Przyjmowani są tam absolwenci Szkół Przysposobienia Rolniczego, a więc młodzież w wieku 16—19 lat. Nauka trwa 3 lata.

W dniach egzaminu 145 kandydatów odpowiedziało na ankietę naszej redakcji.

Chcieliśmy znaleźć odpowiedź, co to za młodzież? Jaki jest jej ogólny poziom, co ją interesuje, jakie ma plany życiowe?

Na podstawie wypowiedzi uzyskaliśmy ciekawy, choć zapewne niewierny i niepełny obraz dążeń tej młodzieży, która decyduje się pozostać na wsi, w rolnictwie.

ADAM DĄBROWSKI

W drodze po zawód

Tylko niektóre, modniejsze kierunki uniwersyteckie mogły poszczycić się takim stosunkiem liczby kandydatów do ilości miejsc, jak Technikum Rolnicze w Bykach. 40 miejsc — 193 przystępujących do egzaminów.

Dziewczęta i chłopcy ze wszystkich powiatów woj. łódzkiego, a także z województw: krakowskiego, kieleckiego i lubelskiego. Któż przed paru laty dałby wiarę, że Anno Domini 1966 do średniej szkoły rolniczej będzie aż tylu chętnych.

Świadomość ludzi na wsi szybko rośnie. Zrozumiano, że przed pracą na roli nie da się ukryć wszystkich za urzędniczym biurkiem, czy przy fabrycznej maszynie. Zrozumieli to starsi, pojmują to coraz powszechniej młodzi.

18-letni chłopiec na pytanie ankiety, co go skłoniło do podjęcia nauki w szkole rolniczej odpowiada: Nie mam żadnego zawodu, namyśliłem się, że zajęcie rolnika najbardziej mi odpowiada. A tego zajęcia też trzeba się wyuczyć. Dobre rozumowanie, jeżeli wypowiedź była szczera.

— Chcę pozostać na wsi lub przenieść się do niewielkiego miasta i uprawiać ziemię, podoba mi się zawód rolnika, pragnę się jeszcze uczyć — oto najczęściej podawane uzasadnienie zgłoszenia się do technikum rolniczego.

Chciałbyś wrócić do miasta powiatowego — 58 odpowiedzi.
Chciałbyś wyjechać do miasta dużego — 23 odpowiedzi.
Chciałbyś pozostać na wsi — 64 odpowiedzi.

Zdarzały się i inne, wskazujące na to, że kandydat traktuje tę szkołę jako ostateczność, zło konieczne. Konieczne, bo trzeba coś robić — tak kazali rodzice — stwierdza jeden z respondentów. Nie mam warunków uczyć się gdzie indziej — odpowiada drugi.

Wyniki ankiety świadczą, że gros kandydatów zgłosiło się do egzaminów ze szczerą chęcią kontynuowania nauki i zdobycia zawodu rolniczego, aby w przyszłości móc przejąć gospodarstwo ojca. Bowiem z niewielkimi wyjątkami są to dzieci rolników gospodarujących indywidualnie.

Ileż to nie padło dowodów na to, że motor, samochód, jest przedmiotem marzeń wiejskich chłopaków. Wiele w tym prawdy. Na marginesie wypowiedzi ankietowych warto jednak zwrócić uwagę, że ci młodzi 16—19-letni mieszkańcy wsi marzą również o własnych gospodarstwach. Aż 57 uznało ziemię za najbardziej pożądany obiekt kupna.

Co kupiłbyś jako pierwsze:

maszynę rolniczą	— 24	**odpowiedzi**
telewizor	— 24	„
samochód	— 14	„
motocykl	— 18	„
ziemię	— 57	„
inne	— 8	„

Zdecydowana większość kandydatów pochodziła ze wsi odległych powyżej 10 km od miasta powiatowego. Ze 145 udzielających odpowiedzi, aż 72 zamieszkuje dalej niż 20 km od siedziby powiatu. Można więc stwierdzić, że jest to młodzież typowo wiejska.

— Nie martw się, bylebyś coś wystękał na egzaminie, to zostaniesz przyjęty — pocieszał młodszego kolegę błądzący po korytarzu uczeń Technikum. Przysłuchałem się proroczemu wywodowi sprowadzającemu się do tego, że chłopców jest zbyt mało, aby można było odrzucić tych, którzy przebrnęli jako tako przez egzaminy.

Tak w rzeczywistości było. Ponad trzy czwarte kandydatów stanowiły dziewczęta. Czyżby objawy feminizacji i tego (po nauczycielskim i lekarskim) zawodu? Notabene szczegółowe obliczenia wskazują, że w Polsce wśród ludności czynnej zawodowo w rolnictwie jest przewaga kobiet (około 53 proc.). A w gospodarstwach, w których mężowie pracują poza rolnictwem, rolę gospodarza sprawują kobiety.

Co sądzą sami zainteresowani o swoich szansach życiowych? Prawie wszyscy (127) uważają, że ich możliwości są znacznie mniejsze od tych, jakie ma młodzież miejska.

Uzasadniają to głównie nierównymi możliwościami nauki i kulturalnej rozrywki. Jedna z dziewcząt ujęła to w ten sposób:

— Szanse są nierówne, bo młodzież wiejska ma większe trudności dostania się do szkoły, nie ma kawiarni, kina, musi dużo pracować i nie ma czasu na naukę.

Właśnie, na naukę. Wyniki egzaminów potwierdziły jak bardzo brak młodzieży wiejskiej tego czasu. Pytani, którego przedmiotu obawiają się bardziej (egzamin obejmował język polski i matematy-

Dalszy ciąg na str. 3

ŻE ŚWIATA

Komentatorzy nie lubią się powtarzać, a przecież raz jeszcze trzeba powiedzieć: mimo lata dyplomacja trwa w pełni. Bo jakże inaczej określić fakt, że na okres wakacyjny zaplanowano liczne zagraniczne wyjazdy polityków i ważne rozmowy.

Przypomnijmy Czytelnikom niektóre pozycje tego wakacyjnego kalendarzyka: w Moskwie — U Thant, w Tokio — Gromyko, w Waszyngtonie — Wilson, w Pradze i Budapeszcie — Couve de Murville, w Warszawie — Fanfani... Dość przykładów, by uzasadnić powyższe stwierdzenie. Dlaczego politycy nie mogą korzystać z urlopów — wyjaśniałem w jednym z poprzednich komentarzy. Dzisiaj więc raczej kilka słów o niektórych z wymienionych wizyt.

Francja i Włochy, choć w nierównym stopniu, zajmują ostatnio szczególną pozycję w Europie. Francja, ponieważ ma obecnie rozwiązane ręce, Włochy, ponieważ właśnie one mają najwięcej danych, by zająć jej miejsce w NATO. Nie jest więc chyba przypadkiem, że skrzyżowały się trasy podróży ministrów spraw zagranicznych obu tych krajów.

Wizyta Couve de Murville'a do Pragi i Budapesztu, w krótkim czasie po odwiedzeniu Bukaresztu, Sofii, Warszawy i Moskwy, mieści się — jak podkreślają komentatorzy zachodni — „w ramach francuskiej polityki zacieśnienia więzów z państwami bloku wschodniego". Potwierdza to francuski minister, mówiąc, że istnieje w Europie prąd w kierunku odprężenia, który powinien być wykorzystany do zbliżenia krajów, „leżących w Europie i mających wiele wspólnych interesów".

Myśl ta zbieżna jest z dążeniem krajów socjalistycznych, które przecież w bukareszteńskiej deklaracji mówiły wyraźnie o potrzebie na naszym kontynencie „wszechstronnej i owocnej współpracy między równoprawnymi narodami".

Tak więc tematem rozmów między Couve de Murville'em a jego czeskim i węgierskim kolegami była przede wszystkim Europa, mocno jednak umieszczona w kontekście światowym.

A rozmów Fanfani — Rapacki?

Przyjazd włoskiego ministra spraw zagranicznych do Warszawy jest — można by powiedzieć — logicznym następstwem wizyty prez. Saragata.

„Polska i Włochy — pisał organ chadecji włoskiej „Il Popolo" — mimo iż są zespolone z różnymi wspólnotami polityczno-ekonomicznymi i obronnymi, zainteresowane są w znalezieniu nowych punktów stycznych i szukaniu możliwości dalszego zbliżenia".

Czy je znaleziono? Odpowiada na to komunikat końcowy, potwierdzający nie tylko wspólne punkty zainteresowania, ale i uznający celowość wspólnego działania na rzecz np. tak kapitalnego problemu, jak rozbrojenie, a przede wszystkim nierozpowszechnianie broni jądrowej. Obie rozmawiające strony stwierdziły także konieczność pokojowego rozstrzygnięcia konfliktu wietnamskiego w oparciu o układy genewskie z 1954 r. Wyraziły one zgodną opinię o potrzebie starannego przygotowania konferencji w sprawie umocnienia bezpieczeństwa w Europie.

Komunikat końcowy poświęca wreszcie wiele uwagi rozwojowi stosunków bilateralnych, zapowiadając m. in. podjęcie rokowań w sprawie zawarcia nowej konwencji konsularnej oraz powiadamiając o zaproszeniu min. Rapackiego do Włoch.

W tym czasie, kiedy ministrowie Couve de Murville i Fanfani składali wizyty w krajach wschodnich — w Paryżu obradowała konferencja ministrów obrony krajów NATO. Miała ona ustalić zasady porozumienia w sprawie współpracy między wojskami francuskimi, stacjonującymi w NRF, a wojskami atlantyckimi. Dyskusję jednak odroczono do września.

Prasa zachodnioniemiecka bardzo minorowo ocenia obrady.

„Frankfurter Allgemeine Zeitung" pisze np., że „sojusz zaczął się przekształcać we flotę samotnie żeglujących statków", a posiedzenie ministrów obrony „przypominało zebranie emerytowanych kapitanów".

Z Europy przenieśmy się do Azji, a ściślej Indonezji, gdzie właśnie utworzono nowy rząd. Gen. Suharto, który został przewodniczącym jego prezydium, zarezerwował dla siebie także sprawy obrony i bezpieczeństwa oraz pozostał naczelnym dowódcą armii. Razem z Malikiem, pełniącym funkcję I wicepremiera i ministra spraw zagranicznych, ma więc w swym ręku najważniejsze nici władzy wykonawczej.

Agencje doniosły, że w ten sposób Sukarno przestał być premierem. Bardzo szybko jednak, a mianowicie w dniu zaprzysiężenia nowego gabinetu, prezydent Indonezji kategorycznie zaprzeczył tym doniesieniom. Oświadczył on bowiem wobec licznie zgromadzonych dziennikarzy: „Jestem nadal premierem. Konstytucja z 1945 r. nie przewiduje tej funkcji, ale w rzeczywistości prezydent jest zarazem premierem. Ja jestem premierem. Proszę to sobie zapamiętać i nie mylić się więcej co do tego".

Raz jeszcze zaskoczył zebranych, kiedy oznajmił, że dwóch swoich faworytów, których utracił Suharto nie powierzając im żadnych tek w zredukowanym ze 100 do 27 osób rządzie, mianuje na wysokie stanowiska doradcze.

Korespondenci podają, że świadkiem tych rewelacyjnych oświadczeń prezydenta był także Suharto, który przez cały czas zachował postawę milczącą.

Doprawdy, trudno rozpoznać się w indonezyjskiej sytuacji...

I jeszcze kilka słów o Wietnamie. Ostatnie dni nie przyniosły żadnych zasadniczych zmian. Amerykanie kontynuują swą zbrodniczą eskalację, ponosząc coraz większe straty militarne. Misternie przygotowywany przez Waszyngton „pretekst" do dalszego nasilenia agresji jako „odwet" za proces lotników amerykańskich w Hanoi, który rzekomo miał się odbyć w najbliższym czasie, odpadł po stanowczym zaprzeczeniu tym pogłoskom przez prez. Ho Chi Minha. Prezydent DRW słusznie największymi zbrodniarzami nazwał nie lotników, lecz ich rozkazodawców — Johnsona, McNamarę i spółkę.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

NIEDZIELA

Bonn realizuje ostry program sankcji ekonomicznych w stosunku do Indii. Powód: Realistyczne oświadczenie premiera Indiry Gandhi o konieczności uznania obu państw niemieckich.

* * *

Mao Tse-tung, 72-letni przewodniczący ChPK przepłynął 16 lipca rzekę Jang-tse na odcinku długości 9 mil. Trwało to około 65 minut. Wyczyn przewodniczącego Mao obserwowały tłumy zebrane na brzegach rzeki.

* * *

W pobliżu granicy austriackiej we włoskiej części Tyrolu znów doszło do faszystowskich aktów terrorystycznych:

Erhard: W tym stroju odważyłbym się na rozmowę nawet z Kosyginem.

21-letni celnik włoski został zastrzelony z ukrycia w San Martino, wiosce o przewadze ludności niemieckiej. Dwóch innych celników włoskich zostało ciężko rannych.

* * *

Pewien dziennikarz zapytał wiceprezydenta H. Humphreya o to, jak się czuje druga osoba w rządzie USA. Odpowiedź: „Nie wiem, spytajcie o to Ladybird" (żonę Johnsona).

„Wiele jest rzeczy ważniejszych od pieniędzy. Kłopot tylko z tym, że i one kosztują dużo pieniędzy".

DANNY KAYE, aktor

PONIEDZIAŁEK

Minęły 24 lata od atomowej eksplozji na atolu Bikini. Wybuch wyrzucił wówczas w powietrze milion ton wody, a „grzyb" uniósł się na wysokość 3000 metrów.

Uczeni amerykańscy nazajutrz po eksplozji oświadczyli, że Związek Radziecki zdoła dokonać takiej próby dopiero po 10 latach. Jak wiadomo, mylili się i bomba radziecka eksplodowała po 3 latach. A w następnych 20 latach dokonano około 600 próbnych eksplozji na całym świecie.

„Kompleks niższej wartości najczęściej mają, niestety, niewłaściwi ludzie".

JACQUES TATI

* * *

Aktorka Lizelotte Pulver spytała Adenauera czy de Gaulle ma takie poczucie humoru jak „żelazny ekskanclerz". Adenauer, słynny z braku poczucia humoru, nie pojął się, że to złośliwość i stwierdził z całą powagą, że de Gaulle nie zna się na żartach.

WTOREK

Kwatera główna armii USA w Europie została przesunięta do Heidelbergu. Wszystkie czynności związane z „przeprowadzką" zostaną zakończone do 1 grudnia. Dowódcą armii europejskiej USA pozostaje nadal generał A. P. O'Meare.

* * *

Parlament Sudanu przegłosował votum nieufności dla premiera Mohammeda Mahgub.

* * *

Po wieloletnich pracach archeologicznych odkryto w Rzymie najdłuższe schody w katakumbach. Mają one 35 metrów długości, 92 stopnie zachowały się w doskonałym stanie. Pochodzą z połowy czwartego wieku.

* * *

Ostatnia epidemia tyfusu w NRF ujawniła, że państwowa służba sanitarna nie posiada dostatecznych zapasów szczepionki przeciwtyfusowej. Oświadczenie oficjalne w tej sprawie głosi, że: „Szczepionka ta jest nietrwała i bardzo droga. Nie możemy sobie pozwolić na jej żelazne zapasy, to za drogie przedsięwzięcie".

ŚRODA

Ministerstwo Poczt NRF opublikowało oświadczenie w sprawie rewizjonistycznej serii znaczków pocztowych, na których widnieją fragmenty architektoniczne polskich miast. Oświadczenie powołuje się na Kongres Pocztowy w Ottawie z r. 1957, który jakoby zezwalał na (cytujemy) „uwidacznianie na znaczkach pocztowych osiągnięć artystycznych, naukowych i gospodarczych".

* * *

Prasa NRF z irytacją pisze o wypowiedziach bawiącego w Pradze min. Couve de Murville na tematy niemieckie. Minister stwierdził parokrotnie, że:

— NRF musi uznać granice istniejące na Wschodzie;

— Niemcy muszą zrezygnować z posiadania broni atomowej.

* * *

Pekin oświadczył, iż chiński inżynier Hsu Tsu-tsai został w czasie Kongresu Technicznego w Delft namówiony przez agentów amerykańskiego wywiadu do zdrady tajemnic państwowych a następnie, dręczony wyrzutami sumienia, popełnił samobójstwo, skacząc z okna konsulatu chińskiego.

CZWARTEK

W roku 1980 dzienna produkcja światowa radioaktywnego plutonu osiągnie 100 kilogramów. Jest to ilość wystarczająca — przy obecnie stosowanej technologii — do wyprodukowania tuzina bomb jądrowych.

* * *

Sekcja kobieca w CDU (partia chadecka), domaga się zaostrzenia kar sądowych za zdradę małżeńską. Ustawy przewidują obecnie w NRF najwyższą karę w granicach 6 miesięcy aresztu. Panie z partii chrześcijańsko - demokratycznej żądają podwyższenia kary do 12 miesięcy.

* * *

Sąd w Monachium skazał wydawcę tygodnika „Spiegel" — Rudolfa Augsteina na 25 000 marek grzywny (ca 10 000 dolarów) i opublikowanie tekstów odwołujących zarzuty stawiane przez odważnego dziennikarza przeciw byłemu ministrowi obrony NRF — Straussowi.

Augstein podtrzymuje zarzuty korupcji i zapowiada złożenie rewizji nadzwyczajnej.

PIĄTEK

Amerykański sekretarz Stanu do Spraw Rolnictwa, Orville L. Freeman, oświadczył, iż w roku 1980 czeka ludzkość klęska głodu — jeśli nauka nie uczyni rewolucyjnego ruchu naprzód w dziedzinie produkcji środków żywnościowych.

* * *

Nieznani sprawcy wywiesili flagi ze swastyką na wieży ratuszowej miasta Coventry. W wielu punktach miasta na murach ukazały się hasła wzywające do zwolnienia Rudolfa Hessa. Uważa się, iż demonstracja ta jest dziełem angielskich faszystów.

* * *

W Mediolanie zaaresztowano za drobną kradzież starego notorycznego żebraka. Rewizja wykazała, iż tylko w srebrnych monetach ukrywał on ponad 160.000 lirów.

* * *

Większością 233 głosów uchwaliła brytyjska Izba Niższa ustawę dopuszczającą przerwanie ciąży w wypadku, gdy zagraża ona życiu i zdrowiu matki. Ustawa dopuszcza również zabieg w wypadku, gdy ciąża jest skutkiem gwałtu, gdy grozi nienormalność płodu i w wypadkach ciężkiej sytuacji materialnej rodziny.

SOBOTA

Minister obrony NRF, Hassel złożył oświadczenie, iż katastrofy myśliwców typu Starfighter, które tak zaniepokoiły niemiecką opinię publiczną, są spowodowane błędami pilotów a nie wadliwością konstrukcji samolotów. Przypominamy, iż ponad 60 maszyn bojowych tego typu uległo w NRF katastrofie.

* * *

Madam Nu — znowu na widowni. Żona eksdyktatora południowowietnamskiego oświadczyła, że z troską śledzi rozwój wypadków w swym kraju. „Wszystkiemu winni buddyści, orzekła pani Nu, która jest katoliczką. To buddyści osłabiają nasz kraj i naszą wolę walki".

„Dzisiejsza awangarda żyje z małpowania awangardy wczorajszej".

SAUL BELLOW, pisarz

WALKA MŁODYCH ZE STARYMI

Nagromadziło się na moim biurku sporo książek autorów polskich i cudzoziemskich, zasługujących na zainteresowanie. Są to pozycje, które mogły zostać niezauważone w natłoku tegorocznych imprez, a wobec faktu, że mamy już lato i kanikułę — mogą w ogóle pójść w zapomnienie, co z pewnością byłoby wielką dla nas szkodą.

Myślę, być może nieskromnie, że skoro owe książki zainteresowały mnie, zainteresują również czytelników, jako że wszyscy, chociaż bardzo się różnimy, jesteśmy do siebie podobni i w sposób jednakowy lub zbliżony reagujemy na wiele zjawisk. Na pierwszy ogień wybrałem „Wspomnienia" Aleksandra Świętochowskiego, wydane przez wrocławskie Ossolineum, z pięknym i rzeczowym wstępem Samuela Sandlera. Świętochowski to osobna, wielka i zarazem tragiczna karta w historii naszej literatury. Świętochowski żył 90 lat (zmarł w 1938 roku) i przeżył całą wielką epokę przemian i przewrotów politycznych, społecznych i kulturalnych. Przeżył innych ze swego pokolenia i przeżył samego siebie. Pisał powieści i dramaty, z których nic nie dotrwało do naszych czasów. Niektóre jego utwory sceniczne, wystawione za życia autora, schodziły szybko z afisza, aby już nań nie powrócić. Wznowione przed paru laty w „Bibliotece Narodowej" jego „Dusze nieśmiertelne", zawierające trzy dramaty, nie obudziły prawie żadnego echa. Był natomiast Świętochowski znakomitym, wybitnym publicystą. Cechowały go cnoty, które nieczęsto sprzymierzają się w jednym człowieku: nerw polemiczny, gruntowne wykształcenie i odwaga w głoszeniu własnych przekonań.

„Wspomnienia", o których mowa, nie są książką autobiograficzną w potocznym rozumieniu tego słowa. Autorowi chodziło nie tyle o zapis faktów i wydarzeń z jego własnego życia, ile o odtworzenie sporów i klimatu epoki, zwanej w historii kultury polskiej pozytywizmem warszawskim. On, Świętochowski, odegrał w tworzeniu tego klimatu znaczną, żeby nie powiedzieć — wyjątkową rolę. Swoje wspomnienia okrasił cytatami z własnych artykułów i wypowiedzi na ważne lub wręcz zasadnicze tematy tamtego odległego czasu. Świętochowski miał wielu wrogów. Był nawet zdania, że o wartości człowieka świadcza jego wrogowie. Zwalczano go ze wszystkich stron, obrzucano błotem, odsądzano od czci i wiary. Przeciwnicy zarzucali mu, że paktuje z zaborcą, że się sprzedał za grube pieniądze tylko dlatego, że budził społeczeństwo z romantycznej śpiączki i trzeźwo, niekiedy wprost brutalnie, przedstawiał polską rzeczywistość. Nawoływał do pracy i nauki, do przebudowy światopoglądu w oparciu o najnowsze zdobycze wiedzy przyrodniczej i społecznej. W jego działalności przyświecała mu słynna maksyma rzymska: „jedynym ratunkiem dla zwyciężonych jest nie spodziewać się znikąd ocalenia". Nie była to wygodna zasada dla tych, którzy szukali pomocy i oparcia w starych schematach historycznego myślenia. Świętochowski, nazywający sam siebie „heretykiem postępowym w wielkim kościele konserwatyzmu", zwalczał ze szczególną zajadłością konserwatyzm galicyjski. Stanąwszy na czele młodych pozytywistów, stał się publicystą wojującym i przez wiele dziesiątków lat, najpierw w „Przeglądzie Tygodniowym" u Wiślickiego, a później we własnym organie „Prawda", gromił i nauczał. Artykuły swoje podpisywał pseudonimem „Poseł Prawdy". Nie bez pewnej dumy napisze później we „Wspomnieniach": „Mogłem w ciągu mojej przeszło sześćdziesięcioletniej działalności autorskiej, która złożyłaby się na setki tomów, napisać tysiąc bezwiednych błędów, ale ani jednego świadomego kłamstwa". Kłócił się i spierał nie tylko z początkującymi dziennikarzami i politykami, z odkrytą przyłbicą stawał w szranki z takimi pisarzami jak Prus i Sienkiewicz. Prusowi zarzucał wręcz, że nie rozumie on świata, w którym żyje i że wiedza jego grzeszy powierzchownością i niedostatkami, ceniąc go przy tym jako powieściopisarza. Warto zacytować sąd Świętochowskiego o Wyspiańskim: „Dla mnie wszystko, nawet najbardziej sławione dramaty Wyspiańskiego są łańcuchami bezsensów, które w czytaniu pobudzały mnie do śmiechu. Na scenie ich nie widziałem, podobno sprawiają wrażenie, wywołując w widzach jakiś nastrój. Ale wiatr jesienny, rozdzierający się na krawędziach dachu jękliwym wyciem, również wywołuje nastrój, nikt jednak nie nazwie go genialną poezją. Niech to będzie ogłoszone za bluźnierstwo przez trzy dzieści milionów Polaków z wyłączeniem jednego Weyssenhoffa, który je dzieli ze mną, nie zmienię mojego przekonania — nie mogę".

Pozostały po Świętochowskim: „Historia chłopów polskich" i „Genealogia teraźniejszości", cenione w środowiskach historyków i socjologów. Możemy śmiało powiedzieć, że tym dwom książkom przyszły w sukurs wydane obecnie „Wspomnienia". Przy lekturze tej ostatniej publikacji nasuwają się przeróżne analogie i skojarzenia. Każda epoka ma swoje spory młodych ze starymi. Jest to naturalne i nie można się temu dziwić. Gdy Świętochowski był młody, walczył ze starymi, ale gdy sam się zestarzał, nowe, młode pokolenie podjęło walkę z nim. Przyjmował ją spokojnie, nie dramatyzując i nie rozdzierając szat. Wiedział bowiem aż nadto dobrze, że młodzi nie zawsze mają rację, a starzy nie zawsze się mylą.

Jan Koprowski

TADEUSZ SZEWERA

Noc na rynku w Osieku

Wracaliśmy z Leżajska, z występu radiowego zespołu „Wesołego Autobusu". Niedawno minęliśmy Kombinat Siarkowy w Machowie koło Tarnobrzegu. Było już dawno po północy, większość zmęczonych aktorów i redaktorów spała wsunięta w miękkie fotele. Nawet nie zauważyłem kiedy autokar przemknął po nowym moście na Wiśle i wjechał na szosę prowadzącą do Kielc. Ocknąłem się dopiero, gdy wóz gwałtownie zahamował.

Odruchowo spojrzałem na zegarek. Fosforyzujące wskazówki wyraźnie tkwiły na godzinie pierwszej minut trzydzieści.

— A niech to wszyscy diabli — mruknąłem i wysiadłem w ślad za kierowcą.

Stał obok autokaru z rękami w kieszeniach i bezradnie patrzył na kłąb pary unoszący się ponad maską wozu. W świetle niewygaszonych reflektorów wyglądało tak, jakby płonął silnik.

— Wydmuchało uszczelkę przy głowicy — powiedział beznamiętnie, ale wcale to nie zabrzmiało uspokajająco. Przyznaję, że nie orientowałem się o jakie chodzi uszczelki, zdałem sobie natomiast sprawę z powagi defektu.

Z autokaru tymczasem wysiadali rozespani aktorzy. Otoczyli nas półkolem, pytając — Można to naprawić?

— Można, gdyby mieć zapasową uszczelkę — powiedział znowu beznamiętnie kierowca. Lecz uszczelki nie miał i to było fatalne. Najbliższe powiatowe miasto, Staszów, leżało stąd ponad 20 km, do Sandomierza było jeszcze dalej, bo prawie trzydzieści. O natychmiastowej pomocy z bazy remontowej PKS, względnie TOS nie mogło być mowy. Należało najpierw dotrzeć do odległego od miejsca naszej awarii o dwa kilometry miasteczka Osiek i stamtąd dopiero wzywać telefonicznie jakąś ekipę techniczną; o ile, oczywiście, taka ekipa, w którymś z tych miast powiatowych, dyżuruje w nocy. Osobiście miałem wątpliwości, należało jednak próbować. Nie mogliśmy przecież bezradnie stać na szosie i czekać zmiłowania.

Kierowca powiedział, że do Osieka postara się jeszcze dojechać. Dalej nie, bo „zarżnie silnik". Ruszyliśmy. Motor grzał się, wyciekająca z chłodnicy woda bulgotała w cylindrze, kłęby syczącej pary wydobywały się spod maski. Na rynek w Osieku zajechaliśmy „ostatkiem sił". Biało-niebieska tabliczka z rysunkiem czarnej słuchawki, informowała, że czynny telefon znajduje się na posterunku Milicji Obywatelskiej, sto metrów w prawo. Poszliśmy tam w czterech. Przy zamkniętych drzwiach wisiała potężnych rozmiarów kłódka.

— Koniec świata panowie! — powiedział redaktor M.

Właśnie wtedy wyszedł z bocznej ulicy stary człowiek. Miał na sobie czarną kapotę. W ręku trzymał laskę.

— Jestem nocna warta — powiedział, i w jego głosie zabrzmiała nuta ważności. — A komendant Kamiński śpi, bo remontują posterunek.

Redaktor M. z aktorem D. poszli w głąb ogrodu budzić komendanta, ja zawróciłem do autokaru. Stary człowiek, podpierając się laską poczłapał za mną. Czułem, że jest rad z naszego wypadku, nareszcie coś się zdarzyło w trakcie monotonnej nocnej służby. Na rynku przystanąłem. Noc była jasna, ciepła, nawet parna. Gdzieś daleko nad horyzontem pojawiał się co chwilę migotliwy blask błyskawic. Nadciągała burza. Rozejrzałem się wokół. Z dwóch stron otaczały rynek domy murowane, ich białe ściany odcinały się wyraźnie na tle ciemnego nieba. Po przeciwległej stronie niskie, drewniane domki tonęły wśród drzew ogrodów, zza których wyłaniała się sylwetka wieży kościelnej.

— Prawie nic się tu nie zmieniło. I kapliczka stoi na środku rynku, tak jak dawniej — zupełnie bezwiednie powiedziałem głośno swoje myśli.

Stary wartownik ożywił się i szybko powiedział:

— Wszystko jest jak dawniej. Gminę też odbudowali po staremu.

I zaraz dodał z źle ukrywaną ciekawością. — Pan pewnie bywał w Osieku?

Uśmiechnąłem się. Czy bywałem? Ile to już lat upłynęło od ostatniego mego pobytu w miasteczku? Chyba z dwadzieścia dwa. Tak, ostatni raz byłem tutaj 1 lipca 1944 roku. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że przypadkowo znalazłem się w Osieku prawie dosłownie w rocznicę. Jest właśnie czwarty lipca 66 roku. Różnica zaledwie trzech dni. Tyle tylko, że wtedy było daleko do zachodu słońca, teraz zaś jest głęboka noc.

Stary człowiek przysunął się bliżej, laską wskazał biały budynek. — Gmina była tutaj. A stamtąd, zza narożnika, gdzie skręca droga, wyszli partyzanci. Od kościoła też strzelali — powiedział.

Nie odezwałem się. Nie mogłem teraz nic mówić. Pamiętam i ten narożnik i mur kościelny i tę kapliczkę bielącą się w centrum. Żandarmi bronili się na rynku, w ruinach domów spalonych jeszcze w 39 roku we wrześniu, strzelali z okien budynku gminy i zza kościelnego muru. Atakowaliśmy właśnie ten mur, pociski rozpryskiwały tynk i cegłę, nie można było podejść bliżej niż na strzał z peema. Kościół stał na lekkim wzniesieniu. Ci zza muru prażyli niemiłosiernie, trzymali nas w szachu, obrzucali granatami. Ale chłopcy atakujący centrum miasteczka mieli jeszcze gorzej. Związani ogniem przy kościele nie widzieliśmy ich walki, za to czuliśmy, że toczą ją nieomal wręcz, że dla obu stron ważny jest każdy załomek muru, sterczące gruzy i każde wgłębienie na niezabrukowanym rynku. To pewnie gdzieś tutaj, obok białej kapliczki, upadł Stach Kuraś „Szkot", po otrzymaniu ciężkiej rany. Dwa pociski jednocześnie rozerwały mu kość uda i miednicy.

„Szkot" był starym partyzantem, ale miał zaledwie dwadzieścia jeden lat; kochał życie i żyć pragnął. Próbował dźwignąć się z ziemi, na którą upadł, szukał oparcia dla omdlałych rąk. Bezskutecznie... Tak przynajmniej później opowiadali koledzy, którzy podbiegli, by go wynieść na swoich ramionach poza zasięg ognia. Nie mogli patrzeć na jego poszarzałą od bólu twarz i na oczy wyrażające nieme błaganie o ratunek.

Już po walce szedłem opodal wozu, na którym „Szkot" leżał i słyszałem, jak jego wierny przyjaciel „Mały Genek" — (on przyprowadził „Szkota" do oddziału) — powtarzał w kółko: „Będziesz żył, Stachu, będziesz żył". A przecież wszyscy wiedzieliśmy, że rana była śmiertelna...

Fot. W. Plewiński

— Jak tego młodego partyzanta Niemcy zabili — powiedział stary wartownik, wyrywając mnie z zamyślenia — to chłopaki uderzyły z jeszcze większą siłą. I zaraz zaczęła się palić gmina...

Pamiętam ten słup czarnego dymu wiszący nad rynkiem. W gminie bronili się zabarykadowani żandarmi. Kiedy ogień ogarnął budynek, kilku z nich wyskoczyło oknem. Spadali na chodnik przed frontową ścianą z rękami rozrzuconymi bezwładnie, pozostali w środku strzelali na oślep i płonęli żywcem, aż buchnęły przez dach snopy iskier wzniecone zapadającym się zwęglonym stropem. Cisza zawisła wówczas nad rynkiem, ale tylko tam, bo ci zza muru kościelnego strzelali coraz gwałtowniej, zuchwalej. Oni już widzieli zbliżającą się szosą od strony Sandomierza kolumnę samochodów z żandarmami, śpieszącymi na odsiecz zamkniętym za murem kościoła. Z rynku nadpłynął przeciągły gwizd. Dowódca „Stach-Inspektor" kierujący naszym uderzeniem dawał znak do odwrotu. Poderwaliśmy się do skoku... Ciekawym, czy odnalazłbym teraz tę ścieżkę między ogrodami, którą biegliśmy w stronę strumienia płynącego w dole za miasteczkiem?

— Pan tu był, jak się gmina paliła? — spytał znowu stary wartownik. Nie odpowiedziałem, bo właśnie redaktor M. wołał, bym przyszedł zaraz na posterunek. — Udało się uzyskać połączenie ze Staszowem! — Cóż z tego, skoro rozmowa z zaspaną telefonistką upewniła mnie, że będziemy musieli noc spędzić w Osieku. Ani w bazie PKS w Staszowie, ani w Sandomierzu nikt nie podejmował telefonu.

— Chętnie bym pomogła panom, bo bardzo lubię „Wesoły Autobus" — powiedziała na dowidzenia. — Ale nie mam innej rady jak ta, żebyście zadzwonili o piątej rano. Oni wtedy zaczynają pracę.

Trzeba było tę wiadomość zakomunikować aktorom. Perspektywa postoju do rana nie byłaby znowu tak „straszna" gdyby nie fakt, że kilku z nich musiało być w Łodzi w południe z uwagi na zajęcia w teatrze; resztę natomiast czekał jeszcze tego samego dnia popołudniowy występ estradowy w Łodzi. O dostaniu się jakimś przygodnie zatrzymanym samochodem raczej nie należało marzyć. Szosa biegnąca przez Osiek była pusta, do tej pory nie przejechał przez miasteczko nawet motocyklista.

Komendant posterunku MO — Ryszard Kamiński poszedł z nami. Ten młody, trzydziestoletni człowiek, wyrwany z głębokiego snu przez redaktora M. postanowił zaopiekować się nami nie tylko z milicyjnego obowiązku. Był także ciekaw aktorów, a zwłaszcza Wincentego Kaźmierczaka — popularnego „kierowcy" radiowego „Wesołego Autobusu". Taka gratka nie nadarzy się szybko w Osieku; być może był nawet rad, że właśnie tutaj a nie gdzie indziej, zatrzymał nas defekt silnika?

Przed autokarem stał Wincenty i rozmawiał z zatroskanym kierowcą. Opodal kręcił się stary wartownik. Kiedy spostrzegł komendanta, podszedł do niego. Nie zauważyłem, żeby rozmawiali. Potem komendant Kamiński zaproponował „niby to kolację, niby to śniadanie". Dochodziła czwarta godzina. Siedzieliśmy pod dachem przy naftowej lampie, jedliśmy świeży, pachnący chleb z miejscowej nowoczesnej piekarni, były jakieś mięsne i rybne konserwy. Aktorzy gawędzili o swoich scenicznych przygodach. Wincenty Kaźmierczak prowadził z gospodynią p. Żyłową dowcipny dialog w gwarze łowicko-sandomierskiej. Było nam dobrze, czuliśmy serdeczność tych ludzi. Wtedy komendant spytał mnie nieoczekiwanie:

— Był pan przy kapliczce?

— Tak. Stoi po dawnemu na tym samym miejscu — odpowiedziałem.

— Ale wtedy, czy wtedy pan był? — powtórzył.

— Nie, wtedy byłem koło kościoła.

— W takim razie idziemy do doktora. Stąd blisko, przy szosie na Połaniec.

Nie bardzo rozumiałem o co chodzi, dlaczego mamy budzić doktora o czwartej nad ranem, ale poszedłem.

Doktor był bardzo zdziwiony wizytą komendanta. Myślał, że ktoś zachorował z zespołu, ponieważ komendant rozpoczął rozmowę właśnie od tego, że „Wesoły Autobus" ma awarię, że jest Wincenty Kaźmierczak i są aktorzy, i że potrzebna jest mu — to znaczy komendantowi — książka, którą ma pan doktor o tutejszych partyzantach.

— Jutro rano ją oddam! — powiedział komendant zadowolony, otrzymując od zaspanego doktora tom zatytułowany „Szlakiem Jędrusiów". Autorem wspomnień był „Mały Genek" — Dąbrowski.

Kiedy wróciliśmy na rynek komendant zapytał mnie jak się nazywam. Powiedziałem. Otworzył książkę na indeksie nazwisk i szukał, potem sprawdził podpisy pod zamieszczonymi fotografiami. Chwilę przyglądał się mej podobiźnie z tamtych, wojennych lat. Wreszcie powiedział z przekonaniem w głosie: — „Faktycznie, zgadza się. Ten sam".

Niebawem poszliśmy na posterunek, by dzwonić do Staszowa lub Sandomierza. Dochodziła piąta. Było już jasno, miasteczko budziło się z nocnego snu, coraz więcej ludzi pojawiało się na ulicach. Stary wartownik stał przed wejściem. Wyraźnie czekał na komendanta.

— Dziadku, popatrz, ten sam co na fotografii — powiedział komendant i palcem stuknął znaczaco w kartki książki.

— Ja od razu wyczułem, że ten pan bywał tutaj, jak tylko o gminie była mowa — powiedział z satysfakcją w głosie stary człowiek.

Z sąsiedniego domu wyszedł mężczyzna z teczką. Śpieszył do pracy. Komendant zatrzymał go:

— Wiesz, dzisiaj w nocy „Wesoły Autobus" z Łódzkiego Radia zepsuł się na rynku. Jeszcze tam stoją. A ten pan, z tej książki, przyjechał z nimi. O, tu jest jego zdjęcie.

Uśmiechnąłem się, ale jednocześnie coś ścisnęło mnie w gardle. I pomyślałem, że mimo wszystko dobrze, że autokar się popsuł. Inaczej nie przeżyłbym takiego powrotu w bliskie mi strony.

Na posterunku zaterkotał telefon. Odezwała się baza TOS w Sandomierzu.

W drodze po zawód

Dalszy ciąg ze str. 1

kę) 122 odpowiedziało, że matematyki. I rzeczywiście, egzamin z tego przedmiotu wypadł słabo. Ale jeszcze gorsze były wyniki z języka polskiego.

Większość elaboratów wymęczonych w czasie 2 godzin (tyle czasu przeznaczono na pisemny egzamin z jednego przedmiotu) nie miała wiele wspólnego ze skromnym wypracowaniem przeciętnego ucznia klasy VII. Można było z nich się dowiedzieć o M. Konopnickiej jako autorce „Janka Muzykanta" i przedziwnych dziejach Jacka Soplicy. Przekrojowy humor z zeszytów szkolnych mógłby być wzbogacony o liczne nowe, przebogate w swej pomysłowości sentencje. Niżej wszelkich przypuszczeń wypadła znajomość ortografii.

Umiejscowienie w czasie Mickiewicza, Sienkiewicza czy Kochanowskiego stanowiło dla niektórych zagadkę nie do rozwiązania. Bohaterowie „Bonanzy", Templer, Kildare i Beatlesi są im bliżsi. Tych oglądają od czasu do czasu na ekranach telewizorów, wyczytują o nich w „Filipince" lub „Nowej Wsi". Te bowiem tytuły i ci bohaterowie przewijają się głównie w ankietach.

Rozmowy na temat uprawy roślin, nawożenia, hodowli, wypadły znacznie lepiej.

Z niepokojem przeglądałem prace pisemne porysowane gęsto czerwonym ołówkiem. Podobne uczucie towarzyszyło mi podczas przysłuchiwania się wymuszonym odpowiedziom na egzaminie ustnym.

Kto tu zawinił? Młodzi, że nie chcą się uczyć? Że nie znają życiorysu Słowackiego i zasad tworzenia niektórych form czasownikowych?

Źródeł tak gruntownej, często, niewiedzy, u większości składających egzamin wstępny do Technikum Rolniczego w Bykach trzeba doszukiwać się w środowisku i w szkole, w warunkach w jakich żyje i pracuje młodzież wiejska. A więc nadal jest ona od najmłodszych lat obarczana nadmierną pracą w gospodarstwie. Aby to stwierdzić zbyteczna jest sonda ankietowa. Wystarczy spojrzeć na pełne odcisków, spracowane ręce tych młodych ludzi.

Wiejska szkoła podstawowa z wielu względów nie jest w stanie zapewnić takiego poziomu nauczania, jak szkoły w miastach. Absolwenci klasy VII mają duże braki w przygotowaniu ogólnym. Jak się okazuje szkoły przysposobienia rolniczego w niewielkim zaledwie zakresie braki te są w stanie uzupełnić. Wyniki egzaminów wstępnych są tego najlepszym dowodem.

Ogólnie można stwierdzić, że do Technikum w Bykach zgłosiła się młodzież chętna do nauki, pracowita, ale źle przygotowana.

Co twoim zdaniem decyduje o powodzeniu życiowym?:

znajomości	**— 44 odpowiedzi**
pieniądze	**— 30 „**
własna praca	**— 71 „**

Niestety, inny trudniejszy i pracowitszy jest jej start życiowy, niż rówieśników z miasta. Przy ocenie poziomu młodego pokolenia i jego życiowych aspiracji trzeba zawsze mieć to na uwadze.

A. DĄBROWSKI

Big-beat czy szaleństwo społecznie niebezpieczne?

Dalszy ciąg ze str. 1

niemal słychać big-beatu. A potem dla zabawy zaczęli niszczyć urządzenia stadionu, bo wydawało im się, że to będzie najlepsza pointa, że będzie o nich głośno w Polsce i na świecie.

Niedorzecznością więc było zgromadzenie ich tylu na stadionie, gdy wiadomo, że nawet szkolna wycieczka do kina, ze znaną młodzieżą, nastręcza nauczycielowi wiele kłopotów z utrzymaniem jakiego-takiego porządku. To w końcu abecadło pedagogiki, ale organizatorzy nie wykazali nawet znajomości abecadła.

Natomiast próba oparcia działań wychowawczych na big-beacie wydaje mi się bardzo szczęśliwa. Już założyciel skautingu Baden Powell głosił, że aby złapać rybę, trzeba założyć przynętę, która jej smakuje. YMCA np., ze względu na ogromną popularność piłki nożnej w wieku XIX, głosiła zasadę: „Do Pana Boga przez futbol". To, że u nas staramy się „chwycić" młodzież na big-beat, wykorzystując jej zainteresowanie tą muzyką, jest więc bardzo słuszne. Jeszcze parę lat temu popularny był w Polsce jazz. Obecnie daje się zauważyć bardzo charakterystyczny odwrót młodzieży od jazzu na rzecz big-beatu. Decyduje więc nie muzyka, a właśnie zabawa. I to także trzeba by wykorzystać. Trzeba położyć nacisk na to, aby jak najwięcej młodzieży miało instrumenty muzyczne, które obecnie są jeszcze za drogie, aby powstawały zespoły, aby dla rozbudzenia zdrowych ambicji organizowano dla tych amatorskich zespołów konkursy. Muzykowanie ma ogromną przyszłość.

Wracając do zajść: tłum jest zawsze nieobliczalny. W dużym, niezorganizowanym tłumie zawsze się znajdzie chuligan, lub grupa chuliganów. Oni zawsze znajdą posłuch wśród młodzieży marginesu społecznego, która nie jest mocno osadzona w szkole: wśród przerośniętych czy wręcz wyrzuconych ze szkół, wśród młodzieży o zainteresowaniach ruchowych i praktycznych, wśród młodzieży prymitywnej. Oczywiście, mówię to tylko hipotetycznie, na podstawie doświadczenia, nie dysponuję przecież danymi, jakiego rodzaju młodzież była na tym koncercie. Choć bezwzględnie trzeba tu wyeliminować dziewczęta, to jest bowiem problem młodzieży męskiej, chłopców, a nie młodzieży w ogóle.

Są trzy formy spędzania czasu wolnego: bierny odpoczynek, zabawa połączona z ekscytacją, wreszcie praca nad sobą. Dla młodzieży w pewnym wieku najbardziej naturalna jest ta druga wymieniona przeze mnie forma spędzania czasu wolnego. Idźmy więc do tej młodzieży nie z muzyką poważną, nie z teatrem, nie z filmem, nie z odczytem, tylko z big-beatem. Z tym, co ją ekscytuje.

Ale w związku z tym rysuje się tutaj problem poważniejszej natury: jak rozwiązać zapewnienie godziwej rozrywki ludziom w ogóle. Pozwolę sobie przypomnieć, że w r. 1949 powstał w Polsce Komitet do Walki z Analfabetyzmem wyposażony w cały szereg daleko idących uprawnień i jego działalność miała zbawienny wpływ na krzewienie oświaty w kraju. Dlaczego by teraz nie zrobić zagadnienia narodowego nr 1 właśnie ze sprawy spędzania czasu wolnego. Gdyby powołać odpowiedni Komisariat, z delegatami, z całym aparatem administracyjnym, kto wie czy nie dopracowalibyśmy się wzorów dobrego spędzania czasu wolnego. Te wzory, na całym świecie, są teraz takie, jakich próbkę mieliśmy na koncercie muzyki nastolatków. A przecież mogą być inne, mogą być zupełnie inne.

Równie palące, to zorganizowanie uczelni dla instruktorów młodzieżowych, jesteśmy w tej dziedzinie mocno zacofani, podczas gdy np. w Stanach Zjednoczonych istnieją dwa uniwersytety nastawione wyłącznie na wypuszczanie ludzi z dyplomem instruktorów.

Na szczęście i u nas w Polsce jest trochę ludzi, którzy wiedzą co należy robić z młodzieżą i jak to należy robić, może więc przyjdzie ocknienie.

MÓWI: DR STANISŁAW CWYNAR, PROFESOR AKADEMII MEDYCZNEJ W ŁODZI

Zajścia, jakie miały miejsce ostatnio na koncercie muzyki nastolatków, znam z notatki papowskiej zamieszczonej w prasie codziennej. Nie jest to zjawisko odosobnione, gdyż podobne eksplozje temperamentów miały miejsce wcześniej na zachodzie, w Szwecji i Anglii, a nawet u nas, w Warszawie, wydarzyło się coś podobnego, choć nie w takich rozmiarach. Nic więc dziwnego, że w klinice, w gronie lekarzy zastanawialiśmy się, jak się do tego typu stanów emocjonalnych ustosunkować z punktu widzenia psychiatrii.

Jak wiadomo człowiek, ściślej zaś jego osobowość, składa się z części intelektualnej woluntarnej i uczuciowej. Patrząc z punktu widzenia psychofizjologii trzeba przypomnieć spostrzeżenie Jacksona, że układ nerwowy daje się podzielić na pewne piętra. Niższymi piętrami władają uczucia, wyższymi intelekt. Inaczej mówiąc reakcje emocjonalne są produktami podkorza, świadome działanie produktem kory mózgowej.

Rytm akumuluje napięcie emocjonalne, w wypadku jego stymulowania może dojść do eksplozji. Przypomnijmy sobie choćby taniec ludzi pierwotnych przed walką, który miał za zadanie właśnie wywołać maksymalne napięcie emocjonalne. Napięcie to może się następnie rozładowywać przybierając postać wyładowania ruchowego lub też seksualnego. Analogiczne chyba zjawisko mieliśmy na owym koncercie muzyki nastolatków. Muzyka big-beatowa nieumiejętnie chyba dawkowana doprowadziła u słuchaczy tego koncertu do stopniowego napięcia podkorza, gdzie są zlokalizowane ośrodki uczuciowości. Jeśli bowiem pobudza się podkorę, to na zasadzie indukcji ujemnej tworzy się strefa źródła emocjonalności tak rozległa, że hamuje reakcje korowe. Kora jest wtedy prawie nieczynna, mamy do czynienia z czymś analogicznym do snu hipnotycznego. Ale jak wiadomo medium reaguje na polecenia hipnotyzera. Otóż w tej grupie ludzi zaczarowanych, zahipnotyzowanych muzyka znalazło się zapewne paru psychopatów, którzy rzucili odpowiednie hasło. Tłum-medium hasła tego posłuchał. Czynnikiem dodatkowym jest tu oczywiście psychoza tłumu, pewien stan emocjonalny jest bowiem szalenie zaraźliwy.

Na koncercie przeważać musieli ludzie młodzi, u młodych ludzi wyładowanie energetyczne jest ruchowe; gdyby byli starsi dążyliby do rozładowania seksualnego. Możliwe, że dyrygujący tą psychozą tłumu mieli w pamięci wydarzenia ze Szwecji i Anglii i chcieli pokazać, że polska młodzież jest równie „nowoczesna".

Jako psychiatra muszę stwierdzić, że organizowanie podobnych koncertów jest raczej niebezpieczne. Nie dlatego, że jestem przeciw wrzaskliwej muzyce, tylko dlatego, że reakcje emocjonalne spowodowane tą muzyką zawsze ktoś może wykorzystać.

Wydaje mi się, sądząc po doświadczeniach na Wybrzeżu, że istnieje potrzeba powołania do życia instytucji, która cenzurowałaby programy rozmaitych koncertów i widowisk z punktu widzenia możliwości wystąpienia pobudzenia emocjonalnego u słuchaczy. W żadnym wypadku nie można dopuścić do tego, aby dominował w nich wyłącznie rytm, który powoduje przyśpieszenie pobudzenia emocjonalnego. I to właśnie, że do koncertu nie włączono wstawek lirycznych, słownych itp. poważnie moim zdaniem obciąża organizatorów.

Nie dziwmy się jednak, że nasza młodzież chętnie uczęszcza na podobne koncerty. Życie we współczesnym świecie, w dżungli miast, w rojowisku pojazdów daje podniety emocjonalne, człowiek zaś pobudzony dąży do jeszcze większego pobudzenia, aby się następnie rozładować. U nastolatków rozładowanie to przybiera, jak już powiedziałem postać ruchową, ale nie musi przecież polegać na biciu ludzi, łamaniu krzeseł, przewracaniu pociągów. Artyści rozładowują napięcie emocjonalne tworząc najwspanialsze dzieła, ludzie zwykli w innej konstruktywnej pracy. Otóż byłoby ideałem, aby nasi młodzi ludzie rozładowywali swoje napięcie emocjonalne w sposób, jaki przystoi ludziom rozumnym.

Jestem mimo wszystko optymistą. Istnieje jak wiadomo naturalna opozycja pokoleń. Myśmy byli wychowywani surowo, dla tego może na zbyt wiele pozwalamy naszym dzieciom. Zaś to „rozrabiające" na koncertach (i nie tylko tam), pokolenie będzie na pewno bardzo rygorystyczne w stosunku do własnych dzieci. Aż żal bierze, gdy się pomyśli, co czeka naszych wnuków od ich „rozrabiających" rodziców.

MÓWI: MGR STEFAN BALCZAREK, SĘDZIA SĄDU WOJEWÓDZKIEGO DLA M. ŁODZI

Skąpe relacje prasowe nie dość wyraziście rysują całokształt stanu faktycznego zajść, jakie miały miejsce na koncercie muzyki nastolatków na Wybrzeżu. W szczególności nie znamy tak ważnych momentów, mających zasadniczy wpływ na zagadnienie odpowiedzialności karnej, jak wiek sprawców oraz ilość uczestników. Nie wiemy wreszcie jaki okres czasu upłynął między zakończeniem koncertu a bijatyką i niszczeniem urządzeń dworcowych.

Jednakże już nawet to, co o tych zajściach wiemy, nasuwa przypuszczenie, że miały one wybitnie chuligański charakter.

Jak wiadomo nasze ustawodawstwo nie przewiduje odrębnej postaci przestępstwa chuligaństwa. Mówimy tylko, że określony czyn przestępny może mieć chuligański aspekt. W świetle wytycznych Sądu Najwyższego z dn. 11 czerwca 1966 r. kryterium chuligańskiego charakteru przestępstwa szukać należy w sposobie działania i pobudkach działania sprawcy. Brak wyraźnego motywu działania uczestników zajść jest tu właśnie wyraźną wskazówką. Sprawca popełnia przestępstwo w sposób agresywny tylko dlatego, że mu to sprawia zadowolenie. Ma satysfakcję naruszając normy prawa i zasady współżycia społecznego, bezmyślnie niszcząc mienie, naruszając zdrowie a czasem nawet i życie ludzkie.

Dla oceny prawnej zajść na Wybrzeżu istotne jest to, że miała tam miejsce bójka. Jak wiadomo nasze prawo nie przewiduje odpowiedzialności zbiorowej, tylko odpowiedzialność osób fizycznych za konkretne czyny. Jedyny wyjątek od tej zasady przewiduje art. 240 naszego kodeksu karnego, który pozwala na pociągnięcie do odpowiedzialności karnej wszystkich uczestników bójki, jeżeli w jej wyniku nastąpiło ciężkie lub bardzo ciężkie uszkodzenie ciała. W takim wypadku nie trzeba ustalać, kto konkretnie zadał uderzenie, wystarczy sam skutek, aby wszystkich uczestników postawić przed sądem. Ale ekscesy chuliganów na Wybrzeżu były skierowane nie tylko przeciwko zdrowiu, były skierowane także przeciwko mieniu. W tym drugim wypadku trzeba pociągnąć do odpowiedzialności określone osoby za określone czyny.

Trzeba tu oczywiście rozważyć zagadnienie ewentualnej psychozy tłumów podniesione np. na procesach po zajściach poznańskich w r. 1956. Jesteśmy w tym wypadku zależni od stanowiska fachowców, biegłych psychologów i psychiatrów, choć mnie osobiście nie wydaje się możliwe, aby najbardziej podniecająca muzyka mogła prowadzić do zmniejszonej poczytalności czy też tym bardziej do całkowitego zniesienia poczytalności. Reakcja taka była możliwa u ludzi pierwotnych, tymczasem muzyka big-beatowa, interesuje się z reguły młodzież uczącą się i młodzież pracującą, na normalnym poziomie rozwoju umysłowego. Nie ulega wątpliwości, że sugestywna, rytmiczna muzyka może wywołać napięcie emocjonalne. Ale stopień tego napięcia nie będzie przecież tak znaczny, aby wyłączał świadomość. Jest dla mnie niemal oczywiste, że uczestnicy zajść, którzy tak pierwotnie zachowywali się na koncercie, reagowali w ten sposób na muzykę dlatego właśnie, że chcieli tak reagować. Musieli się do takiej właśnie reakcji przymuszać, ponieważ w pewnych kręgach młodzieży uważane jest to za przejaw dobrego tonu. Jest tu przede wszystkim ogromnie wiele kopiowania, naśladowania tego, co dzieje się na Zachodzie. Ponieważ tam łamano krzesła, nasza młodzież też łamała krzesła, ponieważ tam bito przechodniów, nasi też ruszyli na przechodniów. Że małpowania Zachodu nie wolno lekceważyć świadczy najlepiej fala procesów, jakie mieliśmy w Łodzi w r. 1961 i 1962.

Ta chęć naśladownictwa wszelkiej mody była jak się wydaje głównym motorem wydarzeń na koncercie. Można także z dużym prawdopodobieństwem założyć, że przynajmniej część uczestników tych zajść działała pod wpływem alkoholu. Wystarczy butelka owocowego wina, aby znakomicie wyostrzyć u chuliganów wrażliwość na muzykę mocnego uderzenia.

Ja osobiście nie lubię big-beatu, choć na podstawie praktyki łódzkich sądów wypowiadać się negatywnie o tej muzyce nie można. Nie zanotowaliśmy żadnych przestępstw popełnionych pod jego wpływem. Miały wprawdzie miejsce jakieś zajścia w Hali Sportowej w roku ub. na koncercie „Animalsów", ale nie na tyle poważne, aby ich finał zawędrował do sądu. Chuligani łódzcy o wiele chętniej i skuteczniej działają pod wpływem alkoholu. Środkami skutecznej represji karnej, jak się wydaje modę tę będzie można powstrzymać.

WACŁAW BILIŃSKI

Wielka budowa

Inżynier Milanowski, tęgi, jowialny, z uśmiechem na twarzy poza którym kryje się chyba zmęczenie, zrzuca marynarkę, rozluźnia krawat, siada wygodnie w fotelu i półżartem, półserio swym miękkim wileńskim akcentem pyta czego od niego właściwie oczekuję. Opowieści o budowie kombinatu cementowego w Działoszynie? Opowiadanie, to nie moja specjalność — powiada inżynier. I o czym opowiadać, od czego zaczynać?

— Na budowie tej cementowni nie widziałem konia — mówi inżynier. I to przez cały okres, od 1960 roku aż po rok 1964. Myślę, że to był taki symptom-bliźniak.

— Symptom naszego zaawansowania technicznego? To ma pan na myśli? Ale dlaczego bliźniak?

— Bo Działoszyn jest pierwszą naszą cementownią pracującą na polskich maszynach — wyjaśnia inżynier Milanowski, pobłażliwie uśmiechając się do stawiającego mu takie pytania ignoranta.

* * *

Późną jesienią 1959 roku na rozgrzęzłej drodze pod Trębaczewem utknęła ich służbowa Warszawa. Dalej więc poszli na piechotę, brnąc przez mokre piachy. Cała ta ekipa, a wśród niej inżynier Milanowski, jak zwykle zbrojny w lornetkę i aparat fotograficzny. Mżył zimny deszcz, na ugorach i nieużytkach nad Wartą hulał listopadowy wicher. — Rany Boskie — powiedział ktoś — ależ odludzie, nie zazdroszczę temu szczęśliwcowi, który się za to weźmie. — Nie będzie tak źle, chociaż błota tu nie ma, sam piach — zauważył ktoś inny.

Inżynier Milanowski był wówczas szefem produkcji Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego Nr 1. Plac budowy w Działoszynie — tak myślał — czekał na kogoś innego, nie na niego.

W końcu kwietnia 1960 r. gdy trębaczewskie piaski podsuszył wiatr i wiosenne, chłodne jeszcze słońce w miesiąc po wejściu łódzkiego przedsiębiorstwa budowlanego na plac — a właściwie nie na plac a w te laski, krzaki i zarośla, na te wertepy, wydmy i kamieniste usypiska — więc ledwie w miesiąc po starcie dał znać już o sobie kryzys. Z budowy raz po raz alarmowano Łódź. W takich terminach nie da się tego zrobić! Z tym sprzętem nie da się tego zrobić!

We wrześniu 1960 roku — w porze dla Działoszyna najpiękniejszej — inżynier Milanowski przejął budowę.

Ale i wówczas nie dostrzega uroków krajobrazu, nie miał czasu na takie kontemplacje. Wyjazd: ostateczną decyzję poprzedziły oczywiście długie rozmowy, konferencje, coraz bardziej alarmujące wieści z placu budowy. Wszystko się zaczynało rozłazić. Inżynierze, decydujcie się! A w domu. — Na Boga, nie daj się tylko namówić. W domu, to znaczy w Łodzi. Jak się dasz namówić, znowu będziesz musiał na lata wyjechać. Masz teraz spokojną pracę. Znowu zacznie się użeranie! Co masz na tych budowach z życia? Co ja mam z życia? A w przedsiębiorstwie: Obietnice. Wasz etat poczeka tu na was. (To nieprawda, etat nie będzie czekał i nie będzie po paru latach powrotu do przedsiębiorstwa, bo życie idzie naprzód — o tym inżynier Milanowski wiedział. Pomyślcie jaka szansa: premia, awans, odznaczenie... Na tę gadkę bym się nie dał nabrać, uśmiecha się dziś do wspomnienia tej rozmowy Milanowski). Więc co zadecydowało? Wstyd powiedzieć — mówi tęgi jowialny, nie pierwszej młodości, mężczyzna — wstyd powiedzieć. Budowa, to jak hazardowy nałóg. Ciągnie, bo człowiek chciałby spróbować, bo nęci, że to się da zrobić, że to możliwe. Więc to chyba chęć, żeby się sprawdzić? Tylko proszę mnie fałszywie nie rozumieć: takim pytaniem postawił mnie pan w kłopotliwej sytuacji. To tak, jakby pan zapytał czemu lotnik decyduje się na (niebezpieczny) lot, marynarz na (trudny) rejs, chirurg na (ryzykowną) operację. Każdy zawód kryje w sobie element ryzyka.

MÓWI INŻYNIER MILANOWSKI

Robotnik przyszedł do nas z okolicznych wsi. Oczywiście niewykwalifikowany i bardziej chłop, niż robotnik. Okoliczne wsie słynęły z biedy. Prace budowlane są bardzo ciężkie, wymagają wysokokalorycznego odżywiania. Ostatecznie organizm ludzki to maszyna, o której wydajności decyduje paliwo. A ci chłopi-biedacy nawykli do głodowania — oszczędzali początkowo na jedzeniu. Nieraz widzę, pracuje taki chudziak kilofem w wykopie, łupie litą skałę, a w przerwie je jęczmienny chleb posypany cukrem. Człowieku, co robisz? — mówię takiemu — przecież się wykończysz. A on. — Skąd brać na kiełbasę? Tak było na początku budowy.

MÓWI LEKARZ ZAKŁADOWY

Obserwowałam u tej części załogi, która po raz pierwszy przyszła ze wsi do przemysłu, i w trakcie budowy, i w trakcie rozruchu maszyn, klasyczne w objawach zjawisko fizjologicznego lęku przed maszyną. Ten lęk był wprost atawistyczny i wielu nie mogło go opanować. Zdarzało się, że taki nowo upieczony robotnik przychodzi do mnie i symuluje objawy choroby. A gdy zobaczy, że nic z tego, wtedy prosi, pani doktor, żeby coś tak zrobić, żebym nie musiał być przy maszynie. Bo nie mogę, jak Boga kocham, nie mogę. Zjawisko takiego lęku jest dobrze znane medycynie i psychologii, a występuje wszędzie tam, gdzie dokonuje się ostra konfrontacja współczesnej cywilizacji z zacofanym, archaicznym, wiejskim trybem życia. Jest więc ten lęk cechą charakterystyczną dla podejmującego pracę w przemyśle chłopo-robotnika. Tak w Afryce, jak i w Działoszynie.

MÓWI OFICER MO

— No cóż, przykro o tym mówić, ale chłopo-robotnik, nim przystosuje się do pracy w przemyśle, przeżywa swego rodzaju kryzys moralny: proszę sobie wyobrazić iż wszedł on po raz pierwszy na plac budowy, i nagle na tym nie ogrodzonym i trudnym do upilnowania ogromnym placu widzi setki przedmiotów, drobnych i dużych, które bardzo by mu się przydały w jego gospodarstwie. Więc przez pierwszy okres — wszystko mu się lepi do rąk. I nie tak łatwo wytłumaczyć, że te gwoździe, które ukradkiem wynosi w kieszeni, że ta łopata, którą cisnął w krzaki, by potem ją stamtąd ukradkiem zabrać, że te obcęgi, ten kilof, ta blacha w arkuszach — że to wszystko, co go tak kusi, jest nietykalne. Że wara ciągnąć to na swoje obejście.

MÓWI PERSONALNY

Zimą to pół biedy. Najgorzej w okresie żniw, w czas wytężonej pracy w rolnictwie. Wtedy chłopo-robotnik staje się niewolnikiem swej drugiej duszy, wtedy jest myślami już tylko na swym zagonie. I jeśli w ogóle nie świeci absencją, to (kto wie czy to nie gorsze) przychodzi na swą zmianę po wytężonej pracy na własnym gospodarstwie. Więc niewyspany, więc śmiertelnie zmęczony. Cóż dziwnego, że stara się odespać zmęczenie właśnie tu, na placu budowy, lub przy maszynach? A skutki? Okres żniw, jeśli idzie o ilość wypadków przy pracy, to okres nigdy w pełni dostatecznej mobilizacji pogotowia i lekarzy.

* * *

Najtrudniej rozwiązać problem transportu. Bocznica, jaką początkiem 1960 roku ma do swej dyspozycji budowa — może pomieścić zaledwie 7 wagonów. A minimalne potrzeby dzienne już wynoszą sto wagonów. Pamiętajmy, że budowa pochłonie 14 tysięcy wagonów samych materiałów budowlanych. A prócz tego przeszło 14 tysięcy ton maszyn.

Więc trzeba budować bocznice, całą ich sieć. Wszystko to opłata pajęczyna magistralą węglową, którą trzeba dziesiątki razy przecinać. Ale ruch na magistrali węglowej nie może doznać żadnych zakłóceń. Przez najbliższe lata przy torach magistrali węglowej narastać będzie w coraz to nowym miejscu takie kłębowisko stali, ludzkich mięśni, betonu. W hazardowym, ryzykownym wyścigu z czasem, zostaną ułożone dziesiątki rozjazdów, z których każdy waży 100 ton. Maksymalny czas na montaż każdego rozjazdu — dwie i pół godziny. Wyobraźmy sobie montaż stutonowego kolosa w takim pośpiechu: słychać głosy, iż jest to niemożliwe. Spróbujmy! A więc jednak możliwe? Tak, ale to wyczyn bez precedensu.

Lecz mimo to, tempo prac jest wciąż jeszcze zbyt powolne. Roboty ziemne prowadzone na wszystkich frontach budowy od „wcinki" (wejścia) na kamieniołom, po fundamenty pod piece (każdy piec 800 ton stali, 1.200 ton materiałów budowlanych — i kilometry najtrudniejszego spawania) — te krecie, uparte roboty zmienią ukształtowanie powierzchni całego wokół terenu. Więc obliczenia: najpierw milion metrów sześciennych wykopów. Trzeba korygować obliczenia. Więc półtora miliona. I znów korekta. Ostatecznie — ponad dwa miliony. W tym 180 tys. m^3 wykopów ręcznych (dzieło chłopo-robotników, norma — 0,7 m^3 litej skały na osiem godzin. Sczerniała od słońca skóra na grzbiecie, miarowy, jak przy koszeniu, ruch-zamach, cios, za każdym razem skała złośliwie oddaje uderzenie. Więc tylko 0,7 m^3 na dobę). Setki wykopów, miarowe dudnienie kruszonej skały.

Ale podsumujmy: to przecież także i około 25 milionów złotych funduszu płac rocznie. W wykopach robotnik już nie gryzie suchara posypanego cukrem. Jeśli oczywiście, po piekielnej awanturze urządzonej przez inż. Milanowskiego, Wydział Handlu w Pajęcznie zdoła zaopatrzyć kioski Budowy w kiełbasę.

* * *

A teraz kolej na opowieść o Wylęgarni.

Budowa została w roku 1960 objęta patronatem ZMS. W namiotach, które niby obóz harcerski przywarowały na skraju lasu koło placu Budowy biwakował już wówczas 35 Ochotniczy Szkolny Hufiec Pracy. I to on właśnie uzyskał tytuł? Przydomek? Wyzwisko? — Wylęgarnia. Ludzie z Działoszyna ze zgrozą opowiadają sobie o junakach z Cementowni — „o tych z Wylęgarni", wymawiając tę nazwę ze szczególną intonacją. Nie da się zresztą ukryć, że Hufiec rekrutował się z wszystkiego dobra i zła, jakim obrodziła w latach czterdziestych Polska Ziemia. Przyszli tu ochotnicy z biedackich wsi, wypędki z miast, nieuki, i szukające rozpaczliwie swej szansy sieroty, harcerze, chłopaki z poprawczaka i ambitni aktywiści ZMS. I wszystko to dokładnie wymieszane, zrównane w prawach, przywdziawszy jednakowe mundury, uczyło się (chętnie lub niechętnie) zawodu, pracowało (chętnie lub niechętnie) na Budowie grało w siatkę lub futbol, czy w „oko", chodziło (jeszcze jak chętnie) na przepustki i zabawy. Czy były draki? Były. Kto ponosił za nie winę? Przybłędy — odpowiada bez namysłu Działoszyn. Bijatyki? Kradzieże? Wielkie rozróby? O raju! Ależ oni to rozrabiali! Stopniowo narastała wokół junaków ta fama, zrazu kiepska, potem już wyraźnie zła. Taka opinia rodzi się często bez udziału faktów. Dziś trudno ustalić jacy byli w istocie junacy z 35 OSHP. To była „wylęgarnia" — mówią ze szczególną intonacją ludzie z Działoszyna. Ale ludzie z Działoszyna słyną ze złych języków, lubią przypiąć nawet niezasłużoną łatkę. Więc jacy byli w istocie junacy z 35 OSHP?

Zabawa w Zalesiakach. Mała salka, mdłe, przygasające światło, dym smuży się gęsto, że krajać. A przy bufecie piwo i wódka, wódka i piwo, piwo i wino pisane patykiem. Czy taka zabawa może się obyć bez bijatyki? I skąd potem takie oburzenie na junaków? Przecież zrobili tylko to, co zwyczajowo, tradycyjnie, było kulminacyjnym punktem zabaw ich ojców i starszych braci. Więc dalejże chłopaki, my im pokażemy: rozpędzimy zabawę. Trzech ciężko pobi-

O ANGIELSKICH NASTOLATKACH

Siedemnastoletni John, student Royal College of Arts urządza dziś prywatkę. Zaproszeni na „free party" zjawiają się około szóstej wieczorem, każdy prawie z butelką Scotch Wisky. Można przyprowadzić kogo się chce, osobę spotkaną nawet w ostatniej chwili — warunek musi być swobodna i niekonwencjonalnie elegancka. Mały dom w londyńskiej East End ledwie może pomieścić 200 chłopców i dziewczyn. Rodzice Johna wrócą późno w nocy — młodzież jest nie skrępowana, toteż swoboda na całego. Obowiązująca dziś moda nastolatków — to długie włosy u chłopców, bardzo obcisłe spodnie, koszulki jedwabne z guzikami z masy perlowej i żaboty. U dziewczyn — błękitne jeansy, długie krawaty, jedwabne, paskowane koszule i spadające na oczy grzywki. Muzyka krzykliwa, obsesyjna — gitary elektryczne i perkusja. Czarny chłopak wybija mocny rytm. Co chwila uchylają się drzwi jednego z pokojów — w niebieskawym, gęstym dymie ręce podają papierosa, który krąży z ust do ust — marihuana... Drażniący rytm muzyki zrywa więzy nieśmiałości, wyostrza ciekawość seksualną.

O trzeciej nad ranem dom pustoszeje. Rozbite butelki, kieliszki, niedopałki oto co zostało. Zniknęło radio, brakuje zegara. „Free party" to rytuał wolnej młodzieży, to styl życia młodych chłopców i dziewczyn, którzy chcą być modni.

5 milionów młodych Anglików i Angielek zrywa z tradycją mieszczańskiego życia, łamie bariery dzielące klasy społeczne, neguje normy określające ludzkie współżycie.

Przyczyny tego zjawiska są przedmiotem badań socjologów, historyków, dziennikarzy.

Społeczeństwo angielskie osiągnęło szczyty dobrobytu, ale ster władzy wypadł z rąk wychowanków ekskluzywnej uczelni w Eton, sztywne kanony straciły rację bytu. Młodzi ludzie, wyrośli po wojnie, nie pamiętają tragicznych chwil jakie z sobą niosła, nie pojmują sensu istnienia barier społecznych i ideologicznych, nie czują więzi z przeszłością. Znajdują się w stałej opozycji do wszystkiego, co nie jest dniem dzisiejszym. W czym wyraża się ich protest?

Trzeba zdać sobie sprawę z tego jak żyje młodzież w Londynie. Większość nastolatków porzuciła rodziny i urządziła się na własną rękę. Obowiązująca nauka w szkole trwa do osiemnastego roku życia i tylko 8 proc. młodzieży myśli o studiach wyższych. Reszta znajduje natychmiast jakieś płatne zajęcie pozwalające na uniezależnienie się od rodziców, na samodzielność. Pracy nie brak — a tygodniowy zarobek wystarcza. Wobec niezależnej materialnie młodzieży rodzice głosu nie mają. Chłopcy i dziewczęta wynajmują na przedmieściach wspólne mieszkania, których cena mieści się doskonale w zarobkach. Niezależność staje się dobrem łatwo osiągalnym. Wszystko zda się sprzyjać młodym. Handel wychodzi im naprzeciw, przemysł zaspokaja potrzeby nastolatków. Niezależność młodych staje się nawet hasłem reklamy, jej treścią: „Musisz się bawić, świat należy do ciebie".

Wielu chłopców nosi długie włosy, czasem ondulowane, nierzadko całkiem gładkie — „po cóż je obcinać, wszak krótkie włosy to wyraz uległości zwyczajowi, to niewolnictwo!" Dla tych samych racji wielu nosi kolczyki, zapuszcza brody. Tkwi tu również chęć okazania swej dojrzałości, sex-appealu! Prawie wszyscy zerwali z tradycyjnym strojem. Ubierają się jaskrawo, dziwacznie, na przekór dobremu smakowi. Liczne sklepy Johna Stephena przeznaczone wyłącznie dla tej młodzieży zaspokajają jej gusty. Szyldy tych sklepów to: „Mężczyzna z Zachodu", „Władca". W witrynach olbrzymie fotosy chłopców w slipach, często z rewolwerem w ręku. Sprzedawcy noszą równie długie włosy. W sklepach muzyka. „Ten hałas ich przyciąga" — mówią kupcy. I rzeczywiście w godzinach lunchu czy sobotniego weekendu młodzież gromadnie dokonuje zakupów. Wybór jest olbrzymi: krawaty, obcisłe spodnie koloru wina, z nisko wszytym skórzanym pasem typu Western, koszule koloru pomidorowego lub białe, batystowe z żabotem. Długie á la John Wayne buty. Ceny są dostatecznie niskie.

Dziewczyny mają również swoje sklepy. Wzorem, bożyszczem teen-agersów jest Mary Quant, odznaczona orderem królowej za pomysłową mini-spódnicę, która ożywiła królewski handel! Twórcy młodzieżowej mody podkreślają zawsze urok dziewczęcej niedojrzałości — półspódnice, pantofelki niebieskie lub lila, prawie dziecięce kapelusiki — wszystko dla dziewczyn o ledwie zarysowanych piersiach.

Wieczory spędza młodzież w klubach nocnych przeznaczonych wyłącznie dla teen-agersów. W Londynie wiele jest takich lokali — wszystkie jednakowo ciemne, hałaśliwe, wszystkie modne. Młodzi szybko się nużą dlatego muszą mieć stale coś nowego. Do tańca — nawet w porze lunchu — przygrywa muzyka z płyt: nagrania Beatlesów, Rolling Stones, od Who's do Yardbirds'ów. Młodzi tańczą parami. Ale równie dobrze mogliby tańczyć samotnie, bo shake, letkiss, surf, swim, bostella czy frugh to raczej gimnastyka, niezależna od partnera. Muzyka łączy tych samotnych gimnastyków, kręcących się obłędnie. Opuszczając lokal młodzi udają się do mieszkań, gdzie miłość nie stanowi dla nich problemu.

Do czego dążą? o czym myślą?

Myślą raczej mało, chcą tego, co już posiadają. Pracują w zakładach użyteczności społecznej, w placówkach usługowych. Czytają niewiele. Ignorują rodziców. Nie oglądają telewizji. Interesują się wyłącznie filmami szpiegowskimi typu James Bonda, lub westernami. Nie interesuje ich ani polityka ani problemy religijne. Bunt — tak modny kilka lat temu, dziś ustąpił miejsca apatii. Nie pragną niczego, żyją tylko dniem dzisiejszym. Ale teraźniejszość to bogactwo tych którzy mają jeszcze lat siedemnaście... osiemnaście, dwadzieścia... co zrobią mając lat dwadzieścia pięć, trzydzieści?...

— 23-letnia Cillia Black mówi: „Od chwili ukończenia 15 lat z przerażeniem myślę o tym, że będę stara" — Jacy będą ci młodzi, kiedy staną się naprawdę dorośli?... Odpowiedź nie jest łatwa. To pytanie trzeba postawić nauczycielom i socjologom interesującym się sprawami młodych. Artur Chisnall w swym domu w Strawberry Hill gości młodych, służy im słowem i radą. Trzy razy na tydzień w jego klubie spotyka się czterysta osób. — „Chcę zarzucić pomost między starszym i młodym pokoleniem" — mówi Chisnall. — „Młodzi są przerażeni, boją się starości, boją się podejmowania decyzji, są apatyczni, niepewni. Wyszli z domów bo nie mogli uwierzyć wartościom, które im wpajali rodzice. Ani szkoła, ani społeczeństwo nie pomogły im w wyborze czegoś, co stanowiłoby o ich przyszłości. Jednego dnia stali się niezależni. Mając 22 lata zdają sobie sprawę, że młodość ich minęła, że nie mają kwalifikacji, że wszystko jest już poza nimi. Wtedy następuje kryzys. Widzą, że nie dokonali niczego, nie wiedzą co mają robić dalej... W moim klubie gromadzi się młodzież, którą czeka szpital psychiatryczny lub samobójstwo...."

I tu problem młodych staje się sprawą starszych, bo właśnie starsi muszą wykazać gotowość do dialogu z młodymi. Bo właśnie w wieku lat dwudziestu teraźniejszość tej młodzieży staje się niepostrzeżenie jej dramatem, jej tragiczną historią.

Oprac. M. TYMOWSKA

---

tych chłopów wylądowało w szpitalu, a nazajutrz po zbiórce całego hufca milicja wybierała z szeregów junaków — to ci, właśnie ci. Włażcie na samochód, w mieście rozpatrzymy jak tam było. Zabrali ich milicjanci, takich młodziaków skutych w kajdanki. To bandyci — orzekł Działoszyn, tak, jakby w miasteczku lubiącym rozprawy na noże — bijatyka była czymś odrażającym i niesłychanym. Finał rozegrał się w Sądzie Piotrkowskim. Zapadły wyroki — 8 i 6 miesięcy więzienia. Bandyci.

Można by na tym zakończyć historię tego epizodu. Ale może warto jeszcze dodać optymistyczne zakończenie. Bogdan K. i Mirosław C. odsiedziawszy „za swoje", wrócili do hufca i ukończyli zawodowa szkołę przyzakładową. Nie zostali bandytami. Chyba na złość Działoszynowi.

A teraz pora na wyliczenie zasług. Hufiec przez lata budowy liczył stale ponad sto osób, przepłynęło przez niego ponad czterystu chłopców i każdy z nich miał swój udział w dziele tej Wielkiej Budowy. Wielu z nich tu zdobyło zawód, niektórzy związali się na trwałe z Cementownią i dziś mieszkają w Osiedlu, w blokach, lub w „szeregowcu". Inni znów pracują na budowach i o nich to właśnie inżynier Milanowski mówi, iż „wyrośli na świetnych fachowców, prawdziwych mistrzów w swym zawodzie".

Więc może i cała ta legenda o „wylegarni" — to jeszcze jeden dowód srogości sądów wydawanych przez Działoszyn?

Wróćmy jednak na plac budowy: wtapia się weń każdego dnia przeszło 1200 ludzi, w tym dwustu chłopa kadry z Łodzi, fachowców i bywalców niejednej wielkiej budowy, osiemdziesięciu ludzi nadzoru technicznego i administracji, 7 inżynierów. To sztab budowy. W tym sztabie działał stary Matuszewski z Rady Zakładowej, dusza-człowiek, skąd się tacy biorą? Ludzie cenią go i aż „podejmują pod nogi", bo też jest jak ojciec: sprawiedliwy, choć surowy. I to nazwisko utkwi w pamięci chłopów z Trębaczewa i mieszczuchów z Działoszyna. Jedyne nazwisko, jakie będą wspominać: był taki Matuszewski, porządny chłop, ludzki. Tak mi powiedzą po latach. Dbał o ludzi, jak on się starał. W naszych czasach, o takiego trudno.

Wywrotki wożą gruz z placu budowy. Wahadło tego ruchu jest rytmicznym, niezmiennym tętnem budowy. Wszyscy chcieliby jeszcze je przyśpieszyć. Inż. Milanowski denerwuje się na myśl o harmonogramach, kopacze i kierowcy liczą w myślach zarobione na tym akordzie złotówki. Więc prędzej, prędzej, prędzej! Ile razy można obrócić na jedną zmianę?

Panie inżynierze, ten krępy, czarniawy kierowca z wywrotki, to wielki cwaniak: on gruz wywala tuż za zakrętem, w lesie. Powiedzieliście mu, żeby tego nie robił? Alboż on nie wie, że nie wolno? Śmieje się tylko, jak mu coś powiedzieć. Cwaniak. Zabijaka.

Inżynier Milanowski nie lubi takich historii. Mamrocze pod nosem, że z wszystkim do niego, że moglibyście to sami załatwić, to wasza, bazy transportowej sprawa. Nagle chwyta go złość. Bo przecież jeden cwaniak potrafi zdemoralizować Bóg wie ilu! Więc decyduje się sam rozegrać tę ryzykowną partię, tylko jeszcze w kantorku zostawi swą nieodłączną lornetkę, a potem bez pośpiechu pójdzie na przełaj usypiskami. Jego zwalista, wszystkim tu dobrze znana ciężka sylwetka zmaleje w oddali. Wtajemniczeni będą czekać z napięciem: jak stary to załatwi? Rozjeżdżona droga przez las, zakręt tuż na skarpie, inżynier przysiada i czeka. Wywrotki z tonami urobku przejeżdżają piaszczystym zrytym traktem, który dopiero po latach przeobrazi się w świetną drogę wykładaną betonową kostką. A na razie z mozołem walczą z piachem, motory ryczą i zachłystują się z wysiłku. Teraz przejeżdża i ten, na którego inż. Milanowski czeka. Wywrotka już znikła za załomem leśnej drogi. Inżynier patrzy na zegarek. Liczy czas. Ale bezczelny cwaniak z tego kierowcy. Proszę, wywrotka już wraca, zsypał gruz nie dalej niż o dwieście metrów od zakrętu. Więc trzeba się decydować. Szef budowy wstaje, otrzepuje spodnie z piachu, schodzi na drogę. Podnosi rękę. Stój, zatrzymaj się. Wywrotka podjeżdża całkiem blisko, motor gaśnie. Z kabiny patrzą zmrużone szydercze oczy. Czego pan chce? Gdzie zrzuciliście gruz? Co znaczy — gdzie? Tam, gdzie trzeba. Mówili ci, żebyś w lesie nie zrzucał? Kierowca zapala papierosa, minę ma kpiącą: dyrektorku, do mnie ta mowa?

Do ciebie ta mowa — mówi inżynier Milanowski i nagle, z szybkością fightera na ringu otwiera drzwi kabiny, chwyta za wyłogi waciaka i jednym ruchem wyciąga krępego osiłka zza kierownicy, w piach tej drogi. Do ciebie ta mowa, chłopczyku, mówi inżynier, do ciebie, właśnie do ciebie: kierowca, zabijaka, nie ułomek, w tych białych dyrektorskich rękach tkwi jak w kleszczach. Ani się ruszyć nie dał — opowie później kolegom, nie kryjąc uznania. Gadał ze mną tak po polsku, po naszemu...

Co mu, pan powiedział, inżynierze, pytam po latach. Ech, nic takiego, śmieje się inżynier Milanowski. My, na budowach musimy być przygotowani na każdy wypadek. Jak na froncie. Co mu pan powiedział? To, co zwykle się mówi w takich wypadkach. To znaczy? Zwal mi gruz w lesie jeszcze choć raz, a jak ci przygrzeję, to z własnych spodni wypadniesz. I pomogło?

Na to pytanie odpowiadają za inżyniera inni. Zgodnie twierdzą, że pomogło. Bo taki jest Milanowski. Swój autorytet zawdzięcza wiedzy i talentowi organizacyjnemu. Ale potrafi i przy stole zdystansować przeciwnika. Po latach opowiadają, że „stary" to miał mocną głowę, siwuchy się nie bał. Niczego się nie bał. Po takiej historii, jak ta z kierowcą, chłopcy by go na rękach nosili. Bo na budowach liczy się odwaga, charakter, siła. Tu miejsce tylko dla mężczyzn.

* * *

Wypadki przy pracy — nieomal jak porody — najczęściej trafiają się nocą. Ciężkie maszyny, młoda załoga, brak tradycji we współżyciu z cywilizacją techniczną — oto przyczyny mnożących się wypadków, wśród których nie brak i ciężkich. Ręka włożona w transmisję. Amputacja. Szyny przygniotą stopę. Amputacja. Młot zmiażdżył palce. Amputacja. 90 decybeli, nieprzespana noc w czasie żniw, wczorajsza pijatyka — nieuwaga, lekkomyślność, czy otępiały powolny refleks? — Co jest właściwie powodem nieszczęścia?

Wypadek na budowie. Cieśla spadł z rusztowania wysokiego na 20 metrów. Krwotok wewnętrzny. Potrzebni są krwiodawcy, gdy wieść się rozejdzie po placach, zgłosi się aż stu chętnych. Nie zabraknie krwi, jeśli trzeba jej, by ratować życie kolegi.

I aż dziw, że w całym okresie szturmu, mimo tych, wymienionych już przyczyn, dwa tylko wypadki zakończyły się śmiercią. W obu, najdelikatniejszym organem okazała się wątroba. Budowlani, jeśli zdarzy się im nieszczęście — umierają na pęknięcie wątroby. Tak mi powiedział inż. Milanowski. Budowlani, jeśli zdarzy im się nieszczęście, umierają przywaleni ciężką maszyną lub osuwającą się ścianą wykopu. Umierają spadłszy z rusztowań. To budowlana śmierć. „Zawodowa"...

* * *

Tysiąc ludzi na budowie nie myśli o śmierci. Oni chcą żyć. Chcą się wzbogacić. Na razie ważny jest tylko akord. I to, co się da zorganizować „na lewo". Bo ludzie jeszcze nie nauczyli się widzieć w Cementowni szansy ustabilizowanej egzystencji. Jeszcze ten gigantyczny plac budowy nęci ich niby wielkie łowisko, bogate, ale nie zbadane. Co wydobędą zarzucone sieci?

W łysawych laskach powstają złodziejskie CPN (nazwa jest autentyczna, miejscowa, oznacza leśną melinę). Wystarczy przecież na umówionym miejscu zrzucić beczkę, czy choćby kanister benzyny — i „dola" leci. Złodziejski proceder trwa niedługo, lecz i tak popłynie tędy cała rzeka benzyny. Dokąd ta rzeka popłynie? Jak to sprawdzić dziś, po tylu latach. Ponoć w owych latach na paliwie Cementowni jeździły wszystkie okoliczne samochody i traktory. Czy tak było naprawdę? Tak czy owak MO musiała nieraz interweniować, a nawet tajniacy myszkowali po okolicznych laskach.

Kiedyś, akurat w godzinach wieczornej zmiany obstawili plac budowy milicjanci z Piotrkowskiego Batalionu Operacyjnego. Stają wszystkie samochody odwożące chłopo-robotników. Ano, pokażcie co tam macie w kieszeniach. Wielka akcja po skrupulatnych rewizjach i przydługim śledztwie, nie da zbyt imponujących rezultatów. Ot, trochę kradzionych gwoździ, trochę „skompinowanych" na lewo narzędzi. Więc może nie było wielkiego złodziejstwa. Ludzie lubią przesadzać — powie po latach oficer milicji. — Działoszyn mimo wszystko miał mniejsze wskaźniki przestępczości, niż inne podobne wielkie budowy. Brzmi to pochlebnie.

Czyja to zasługa? Dziś tego nie stwierdzimy. A już na pewno jedno nazwisko niczego by tu nie tłumaczyło. Mimo to wymienimy jeszcze jedno nazwisko: stary Bednarek. Po całych nocach łazi z psem, nie śpi, zagląda w każdą dziurę. Złości to ludzi. Najpierw więc mówią o nim — „ten cholerny stary szpicel". Z czasem zaczynają mówić inaczej — „Dziadek, ten to złodziejstwa ścierpieć nie może. Dziadek lepszy niż ORMO". A także — „Bednarek to pilnuje budowy, jak swego".

* * *

Z tej magmy ludzkiej, tak się trudzącej, z setek ton cementu i stali, z cegły i tysiąca wagonów maszyn, z milionów przesuniętych na inne miejsce ton skały i gliny — wyrasta nowy pejzaż i dźwiga się wolno niewidziany nigdy w tych stronach kolos — Cementownia. Już kominy górują nad lasem, już świeci w słońcu wyszklony blok biurowca, już wyrosło osiedle awaryjne, i tu, w nowoczesnych domkach mieszkalnych gnieździ się teraz rodziny budowniczych, do niedawna upchane byle jak, ale za 250 zł miesięcznie, po poddaszach i w komorach Trębaczewa. Ależ szybko idzie ta budowa — mówią działoszyniacy. Ależ się to wlecze — wzdycha inżynier Milanowski, którego straszą milionowe straty innej budowy, Cementowni w Chełmie, straty wynikłe z przewlekłego cyklu inwestycyjnego.

Lecz w Działoszynie inaczej. Mimo, że i tak budowa idzie jak po grudzie, mimo niesprawności inwestycyjnych, mimo trwającej miesiące wymiany pewnych elementów prototypowych (niech pan pamięta, że to pierwsza taka budowa realizowana całkowicie w oparciu o polską dokumentację, z polską maszyną i polską technologią produkcji — przypomina inż. Milanowski), mimo wreszcie „zimy stulecia" z jej niebywałymi zaspami i mrozami, jakich nie pamiętali najstarsi i z jej zakłóceniami w transporcie kolejowym i drogowym. Bo w końcu na przekór wszystkim przeciwnościom — ta właśnie budowa przyniosła ogromną akumulację. Dokładnie — 35 milionów zł akumulacji zaoszczędzonych kosztów robocizny (skrócone cykle prac) i materiałów (usprawnienia) itp. Czas budowy był dobry — ocenia inż. Milanowski po latach. Dobry, chociaż można by go skrócić jeszcze o jakieś 9 miesięcy.

W lipcu 1964 r., po 44 miesiącach bitwy toczonej zrazu na litej skale, potem w wykopach i na rozjazdach, wreszcie na placu montażowym, i na drogach dojazdowych, po 44 miesiącach nadziei, zrywów, chwilami nawet zniechęcenia i rozpaczy — po 44 miesiącach działoszyńskiej przygody wyjeżdża stąd dyrektor Milanowski. Jest to rozstanie niesentymentalne: inżynier zabiera zniszczoną walizkę z brudną bielizną i paczkę dokumentów, śpiesznie żegna się z kolegami i podwładnymi, potem nie oglądając się wsiada do samochodu. Jest o cztery lata starszy. Cztery lata życia. Czy to dużo? Kominy Cementowni w rozruchu — już dymią. Zmienił się pejzaż, zmieniły się warunki ludzkiej egzystencji. Czy to dużo?

W Łodzi czeka na inżyniera premia — parę tysięcy złotych. No i nowa praca: bo na dawne miejsce, oczywiście, nie ma już powrotu. Opłaciło ci się, co? — pyta gorzko żona. Inżynier Milanowski milczy. Gdybym jej powiedział, że mi się opłaciło — mówi mi w dwa lata później — zabrzmiałoby to śmiesznie, prawda?

WOJCIECH NATANSON

Wszystko o akademiach

KRYZYS AKADEMII FRANCUSKIEJ

Akademia Francuska przeżywa kryzys. Kilka foteli wakuje, ponieważ niepodobna uzyskać większości wykwalifikowanej wymaganej statutem i zwyczajami. Pewna część akademików zaznacza swój negatywny stosunek do wszystkich zgłoszonych kandydatów, oddając kartki białe, przekreślone na krzyż. W ten na przykład sposób głosowano przy obsadzaniu stanowiska wakującego od śmierci Daniela Ropsa. Wprawdzie ostatnio wybrano nowego „nieśmiertelnego" na miejsce Roberta d'Harcourta — Jean Mistlera, ale stało się to w dość specjalnych okolicznościach. Za tą kandydaturą opowiedziało się 21 akademików, 7 głosowało na sędziwego Henryka de Monfreida, a 7 protestowało przekreślonymi białymi kartkami. Mimo, że głosowanie jest w zasadzie tajne, wybitny pisarz i biolog, Jean Rostand, nie krył swego niezadowolenia, a Jean Guehenno stwierdzał nawet, że jest to obniżanie poziomu...

Natomiast spośród akademików, którzy przeprowadzili wybór Jean Mistlera, 11 ujawniło swą postawę, gratulując nowo obranemu koledze. Są to: były ambasador Francois Poncet (na łamach „Figara" krytykujący nie raz politykę zagraniczną gen. de Gaulle'a) historyk Jacques Chastenet, hr. Levis Mirepoix, kardynał Tisserand, Jules Romains, krytyk Marcel Brion, sekretarz generalny Akademii Maurice Genevoix, filozof Henri Massis, ekonomista Jacques Rueff, sędziwy prof. Carcopino i historyk sztuki Renè Huyghe. Nie znane jest stanowisko Mauriaca, Mauroisa, Paghola, Chamsona, Renè Claira, Montherlanta, prof. de Broglie, Acharda, pastora Boegnera, a więc — wielu luminarzy Akademii.

Kim jest Jean Mistler? Jako młody humanista, wychowanek sławnej Ecole Normale Supérieure został po pierwszej wojnie światowej attaché kulturalnym w Budapeszcie. Wkrótce potem partia radykalna postawiła jego kandydaturę do parlamentu. Mistler zaczął robić dość szybką karierę polityczną: był podsekretarzem stanu w gabinecie Herriota; jako minister poczty wykupił w 1933 roku na rzecz państwa radio francuskie. Po wojnie wycofał się jednak całkowicie ze spraw publicznych, wydał szereg powieści i zbiorów nowel, pełni też funkcje stałego recenzenta książek i krytyka muzycznego na łamach „Aurore", a także kierownika działu literackiego w księgarni HACHETIE. Niedawno Syndykat Krytyków Paryskich nagrodził jedną z jego książek. Nie jest to jednak pisarz zbyt znany.

W dalszym więc ciągu pewna część akademików nurtuje niepokój — o przyszłość tej dostojnej instytucji. Trudność na tym polega, że o wybór trzeba się ubiegać, stawiając swą kandydaturę i odwiedzając członków Akademii. Nie wszyscy się tej procedurze chcą poddawać; inni znów odrzucają zaproszenia, do udziału w pracach Akademii zaniepokojeni zbyt wielką stratą czasu: co czwartek trzeba brać udział w żmudnych posiedzeniach poświęconych układaniu nowej edycji Słownika Językowego, ponadto Akademia rozdaje kilkadziesiąt nagród rocznie. Ze słynnych pisarzy, Malraux nie może zostać akademikiem jako minister, Aragon i Sartre odrzucają samą koncepcję Akademii, nie chcą też być wybrani Anouilh, Jonesco i Vercors. Na łamach dziennika „Le Figaro" przeprowadzono w tej sprawie ankietę wśród akademików. Jedni (np. Mauriac, Maurois, Rostand) proponują zmianę zasad wyboru i uwolnienie kandydatów od uciążliwej procedury wstępnej (jak to raz zrobiono dla Montherlanta). Inni wypowiadają opinię, że należałoby sięgnąć do młodszych roczników pisarskich, między 40—50. Nie wszyscy liczący ponad lat 80 zachowują tak zadziwiającą żywotność, jak Mauriac, Maurois, Boegner czy Pauchan.

A więc kryzys w Akademii? Mimo wszystko, zachowuje ona duże znaczenie nie tylko w życiu swego własnego kraju... Przede wszystkim — dzięki systematycznej pracy nad rozwojem i zabezpieczeniem narodowego języka, kształtowanego wysiłkiem pisarzy.

300 LAT AKADEMII NAUK

Anatol France żartował sobie kiedyś, że „Akademie stanowią kres wszelkich czynności naukowych". Po francusku gra słów jest o wiele wyraźniejsza, gdyż słowo „fin" znaczy zarówno „cel", jak i „koniec". Ale wbrew temu powiedzeniu, paryska Académie des Sciences odgrywa ważną rolę w życiu naukowym kraju (i świata). Obchodzi ona właśnie 300 lat swego istnienia, jubileusz ten został solennie uczczony, brali w nim też udział polscy delegaci, m. in. wielki matematyk, prof. Sierpiński. Nic słuszniejszego skoro Polacy uczestniczyli zawsze w pracach tej instytucji.

Jak powstała Akademia? Już w czerwcu 1966 roku, (może na wzór powstałej wcześniej Akademii Francuskiej), uczeni zbierali się w bibliotece Colberta; i, wedle informacji Fontenelle'a „zaczęli pewne czynności akademickie". Oficjalna inauguracja przypadła wprawdzie 22 grudnia, ale już wcześniej Akademia istniała. Jej ukonstytuowanie w ramach Instytutu Francuskiego (obejmującego pięć akademii) dokonało się na mocy prawa uchwalonego przez Konwent rewolucyjny 25 października 1795 r., tuż przed wprowadzeniem Dyrektoriatu.

Obecnie Akademia Nauk dzieli się na dwie „sekcje": nauk matematyczno-fizycznych, gdzie funkcję sekretarza generalnego pełni słynny fizyk, laureat Nobla, De Broglie oraz chemiczno-przyrodniczych — z Robertem Courier, profesorem Collège de France, biologiem światowej sławy, pełniącym funkcję sekretarza.

Do tej pory zwyczajnym członkiem tej instytucji nie była ani jedna niewiasta. W roku 1911 zabrakło jednego głosu naszej wielkiej rodaczce, Marii Skłodowskiej-Curie. W 1943 roku został wybrany jej zięć Fryderyk Jolliot, ale 10 lat później przepadła w wyborach jego żona, Irena Jolliot-Curie, córka Marii. Akademia posiada jednak swoją „korespondentkę". Jest nią panii Perrey, odkrywczyni „FRANCIUM" (w 1939 roku), wybrana w 1962 roku. Znawcy mówią, że jeżeli kobiety dostaną się kiedyś do jednej z Akademii, zjednoczonych pod kopułą Instytutu Francuskiego, może się to stać za pośrednictwem Akademii Nauk.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Andrzej Banach — PISMO I OBRAZ, WL, cena zł 36.—
Ryszard Palacz — ABELARD, WP, cena zł 15.—
Jadwiga Chamiec — O LUDWIKU WARYŃSKIM, Czyt., cena zł 10.—.

EUGENIUSZ ZARZYCKI

MATKA

Tyś mi pierwsza
nad łąką
pokazała ptaki
co na swych skrzydłach
wiosną
świeżą zieleń niosły
z różowej pajęczyny
i z babiego lata
misterne wzory tkałaś
na drewnianych krosnach

Z huśtawki
zawieszonej na sękatych drągach
wciąż rzucałem ci hasło
do przerwania robót
żywe broszki we włosach
czerwone biedronki
a gęsty pot na czole
ciężkie bruzdy żłobił

Lecz kiedy upał
słońce do zapaski zgarniał
i białe pióra
w locie
nad polem rozsiewał
złote sierpy rąk twoich
całowały ziarna
byłem jednym z nich
szorstką otulony plewą

Potem
jesień nad głową
ciężkie chmury wlokły
i mglisty zmierzch
przed wzrokiem
postać twą zasłonił
po rozmokłych radlinach
najeżonych ostem
biegłem cicho
śladami zagubionych dłoni

Zimą Matko
z kądzielą tkwiłaś przy kominie
i furkotem wrzeciona
zgrzebne myśli snułaś
ze stuletnich zegarów
spadały godziny
w pasma przędzy na motkach
w stargane pakuły

Nad zamkniętym obrazem
codziennej harówki
stukałem
w ciężkiej ramy pozłacany brzeg
i podkręcałem płomień
zmęczonej naftówki
by ci rzęsy odkleić
przygniecione snem

Z tomiku pt. „Ognie na śniegu", który ukaże się niebawem w Wyd. Łódzkim.

Frans Masereel: „Kosmos"

TADEUSZ ROSS

SŁUCHAJĄC PIEŚNI

W mym kącie pająk się nanizał
na srebrną nić jak perła mała.
Z radia melodia Albeniza
mój świat jak nić rozkołysała.

I huśta się mój świat powoli
i lula go ten rytm znad Ebro,
i niby pająk mnie okolił
ten czar, co szarość zmienia w srebro...

Noc katalońska na mnie spływa
i nici wspomnień skrzyżowane
kołyszą mnie niby ogniwa
sztucznie ze sobą poszczepiane.

ROMAN ŁOBODA

— Jest to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, gdy zgon autora zbiega się z dniem premiery jego sztuki, najczęściej bowiem śmierć jego na długo ją wyprzedza i wówczas naprawdę trudno ustalić, co właściwie dramaturg chciał powiedzieć.

— My właśnie jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, bowiem autor, jeszcze wczoraj, ciesząc się kwitnącym zdrowiem zapewniał nas solennie, że tylko to chciał powiedzieć, co powiedział. Autor — przez szereg lat starał się żyć jak najradośniej, mniemając, że to musi mieć wpływ przynajmniej na optymistyczne zakończenie sztuki. A teraz jesteśmy pozostawieni sami sobie.

Oto jesteśmy. Chcemy pomóc naszemu ojcu. Niewątpliwie zasługuje na to. Upijał się bardzo rzadko i jeżeli wówczas śpiewał, to niezbyt mocnym głosem, fałszując tylko w nielicznych miejscach, co można uznać za zamierzone. Jeden, jedyny wypadek, gdy chciał pobić szwagra, zdarzył się dawno i w specjalnych warunkach.

Wysiedliśmy z wagonu na parę godzin przed wigilią Bożego Narodzenia. Pociąg miał duże spóźnienie, ale to wcale nie usprawiedliwiało brata naszej matki, który nie wyjechał na stację. Ojciec już dawno podejrzewał, że wuj jest arogancki i leniwy i — „właściwie niepotrzebnie jedziemy do tego bałwana". — Ta krótka i na marginesie osobistych spostrzeżeń uwaga nie została pominięta milczeniem przez teściową naszego ojca. Podczas kilkunastostopniowego mrozu wsiedliśmy zatem w dość gorącym nastroju do taksówki, która jakimś dziwnym zrządzeniem losu tkwiła jeszcze przed dworcem.

Ojciec siadł przy kierowcy, matka z babką z tyłu, a my — dzieci — gdzie się dało. To było bardzo dawno. Jednak niektóre szczegóły dość wiernie utkwiły mi w pamięci. Miejscami zaspy na drodze były do kolan, miejscami zaś wiatr obnażył drogę i wówczas szofer dodawał gazu. Karoseria model z 1894 r. trzeszczała, a babka uderzała głową o dach, którego stojąc nie mogliśmy ręką dosięgnąć. To były te jaśniejsze chwile podróży. Ojciec nie powstrzymywał śmiechu aż do momentu, gdy musiał wysiadać, by wspólnie z szoferem pchać samochód przez zaspy. Oczywiście babka nie wysiadała. A trzeba wiedzieć, że ważyła około stu kilogramów. Pojedynek trwał: ojciec pękał ze śmiechu na wybojach, babka nagliła na zaspach. Byliśmy zdecydowanie po stronie ojca. Wesołość jego wcale nas nie dziwiła. Natomiast zachowanie babki uznaliśmy za niespołeczne. Ciemno się robiło. Las szpilkowy groźnie siniał, a my rozgrzewaliś-

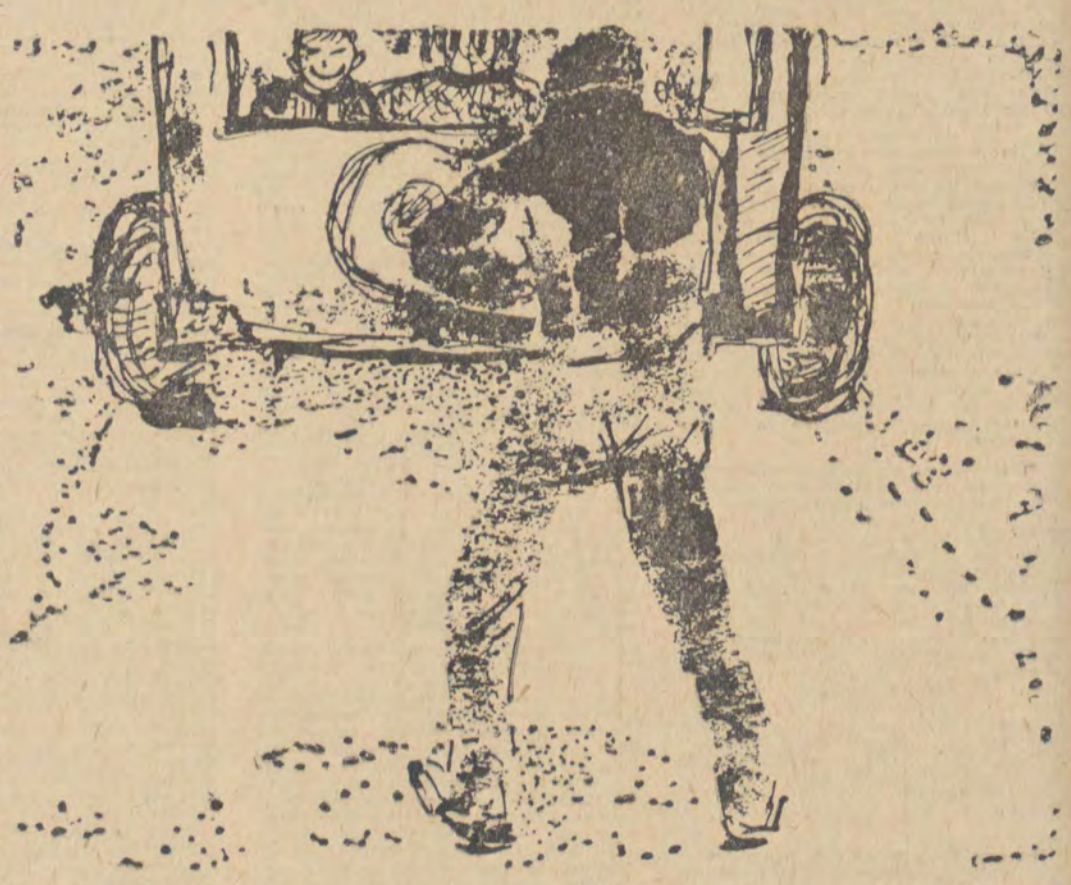

Rys. M. Kapuścińska

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Lope de Vega w Teatrze Powszechnym

Jest coś niepokojącego do dzisiaj w komediach Lopego de Vega zaliczanych do gatunku „comedias de la capa y espada" (komedie płaszcza i szpady). Ich treść i zawartość zdaje się oscylować gdzieś na granicy komizmu, bufonady i tragedii. Pozostaja przy tym zawsze fascynującym materiałem interpretacyjnym dla inscenizatora i aktorów. Materiałem podobnie trudnym, jak komedie szekspirowskie, gdzie spoza konwencjonalnego układu zdarzeń i intrygi dostrzega się drwiące spojrzenie geniusza, którego filuternie przymrużone oko skierowane jest zarówno na postaci kreowane, jak i w kierunku widowni. „Bawcie się, jeśli zdołacie — mówi hiszpański komediopisarz — lecz wiedzcie, że ja na ten sam temat tragedię mógłbym napisać.. I tak jest w istocie. Lawina szybko następujących po sobie zdarzeń i zmian sytuacji zdaje się ukrywać pod cienkim płaszczykiem śmiechu subtelna ironię ze świata przedstawianego: a od ironii już przecież niedaleko do tragedii. Częstotliwość zmian sytuacyjnych nasuwa ustawicznie na myśl prawdopodobieństwo przejścia od śmiechu i zabawy do rozwiązania tragicznego. Jesteśmy zaledwie o krok od dramatu. W przypadku „Psa ogrodnika" nasuwają się skojarzenia z molierowską „komedią charakteru". Jedynie tam, gdzie Molier konsekwentnie — choć nie bez złośliwości — stosował konwencję deus ex machina, a więc tam, gdzie bez interwencji boga-autora nigdy nie doszłoby do pogodnego rozplatania węzłów intrygi, tam Lope de Vega ukazuje explicite swój własny „odautorski" śmiech ironizując zarówno konwencję, jak i świat kreowany, „Bogiem", którego interwencja rozwiązuje sytuację dramatyczną, jest lokaj-lotrzyk, Tristan. Mało tego: rozwiązanie to jest oszustwem, czymś zupełnie zewnętrznym w stosunku do istoty konfliktu miłosnego Hrabiny i jej sekretarza. Główni bohaterowie przyjmują role narzucone im przez hochsztaplera. Świat został oszukany, widownia zadowolona. Oryginalne potraktowanie konwencji teatralnej postawiło świat przedstawiony i zadowolenie widzów w pozycji dwuznacznej. Zza kurtyny słyszy się śmiech autora; jedynie naprawdę on tutaj się bawi...

Reżyser łódzkiego wystawienia „Psa ogrodnika" w Teatrze Powszechnym, Tadeusz Żuchniewski, nie wykorzystał powyższej szansy interpretacyjnej komedii hiszpańskiego dramaturga. Położył nacisk przede wszystkim na komediowość sztuki, na śmiech i zabawę, jak gdyby mając na względzie zbliżający się sezon ogórkowy. Dlatego wychodzi się z tego przedstawienia z pewnym uczuciem niedosytu wynikającego z faktu, że śmiech i zabawa nie służą tu niczemu. Reżyser wydaje się zapominać, że homo ludens to także homo sapiens — nawet w sezonie ogórkowym. Nie chce tutaj bynajmniej powiedzieć, że przedstawienie to jest pomyłką inscenizacyjną. Wprost przeciwnie. Żuchniewski wydobył z komedii Lopego de Vega cały jej czar i wdzięk, lekkość i pomysłowość; potrafił narzucić widowni jej urok i rozrzutność komediową. Najwymowniejszym tego świadectwem jest reakcja widowni, gdzie na przemian zrywają się oklaski i wybucha śmiech.

Scena ze sztuki „Pies Ogrodnika"

Fot. Myszkowski

Z konwencją zabawową widowiska ściśle współgra niebanalna scenografia Henri Poulaina. Żywiołowości komediowej odpowiada ciągła zmienność barw i kolorów zarówno dekoracji, jak i kostiumów. Częste stosowanie zmiany otwartej przerzuca raz po raz widza w coraz to nowy świat kolorystyczny, którego niebanalność daleka jest jednak od feerii operetkowej. Zupełnie świadomie i ze znakomitym skutkiem sięgnął scenograf do modeli kostiumowych komedii dell'arte. Usprawiedliwiała go w tym względzie jeśli nie płaszczyzna tematyczna sztuki, to na pewno czas i miejsce akcji — Neapol. Elementy „neapolitańskie" znalazły swój wyraz przede wszystkim w ubiorach służby, natomiast konwencja komedii dell'improviso zaznaczyła się najsilniej w kostiumach kobiecych ujętych w formę stroju Kolombiny (oraz w prześmiesznych czerwonych kokardkach zawiązanych na końcach szpad Hrabiego i Markiza).

Delikatne sugestie scenografa narzucające przedstawieniu charakter komedii dell'arte nie zostały jednak — a szkoda! — w pełni wykorzystane przez reżysera i aktorów. Jedynie dwie postacie — Włodzimierz Skoczylas w roli Markiza Ricardo i Stanisław Marian Kamiński jako Tristan — potrafili nadać swojej grze charakter improwizacji komediowej. U pierwszego z nich uwydatniło się to przede wszystkim na planie gestyczno-mimicznej ekspozycji postaci. Kamiński natomiast, aktor dysponujący silnym, choć ostrym głosem, rozszerzył to również na płaszczyznę interpretacyjną tekstu sztuki. Kamiński był zresztą aktorem wnoszącym do przedstawienia ruchliwość, żywość i wesołość, czego nie można zawsze powiedzieć o innych. Poza tym dzięki niemu nie zanikła zupełnie w inscenizacji owa oryginalność rozwiązania konfliktów komediowych, o której mówiliśmy na początku. Rozrzutny w geście i słowie panuje Tristan nad każdą zmianą sytuacji i on wyznacza kierunek losu bohaterów. W nagrodę Hrabina chce go utopić w studni, aby pozbyć się niewygodnego świadka. Tristan, który wyłania się wówczas zza ściany, gdzie podsłuchiwał, jest niemal groźny. Kamiński potrafił wyczuć tą groźbę, by przez moment, krótki moment zmiany gestu i intonacji, uświadomić wszystkim, że jest czymś więcej niż tylko lokajem sekretarza Hrabiny. Oddanie Tristanowi ręki jednej z dwórek Hrabiny jest w tej sytuacji już tylko przekupstwem.

Rola Hrabiny Diany de Belflor jest w inscenizacji Teatru Powszechnego podwójnie obsadzona. Ewa Krzyńska w swojej interpretacji tej postaci stara się utrzymać w konwencji żartu i zabawy pomagając sobie żywym temperamentem i swobodą poruszania się na scenie. Jadwiga Siennicka natomiast kładzie bardziej nacisk na cechy arystokratyczne Hrabiny; celebrując niekiedy tekst stara się zironizować kreowaną przez siebie postać. Zarówno jedna jak i druga wnoszą do przedstawienia młodość i wdzięk Kolombiny.

Leon Niemczyk, występujący w „Psie ogrodnika" jako Teodor, ma na swoim koncie już szereg kreacji „pierwszych amantów" w sztukach Lopego de Vega, wystawianych dotychczas w Teatrze Powszechnym. Pamiętamy go w „Nauczycielu tańca", w „Młynie" czy w wystawianej niecałe dwa lata temu komedii „Jaśnie Pan Nikt". Wydaje się jednak, że w porównaniu do tych poprzednich kreacji jego rola w „Psie ogrodnika" nie jest najlepsza. Niemczyk grał tutaj i wypowiadał tekst jak gdyby bez przekonania. Zawodziła mu przy tym niekiedy tak świetna dotychczas u tego aktora dykcja, co również zdawało się mu utrudniać właściwe postawienie roli.

„Pies ogrodnika" grany jest w Teatrze Powszechnym w pięknym tłumaczeniu Tadeusza Peipera, w tłumaczeniu, którego język znakomicie dostosowuje się do potrzeb teatru i ekspozycji scenicznej.

Bogaty i obficie ilustrowany program do przedstawienia (w którym drukują swoje uwagi T. Peiper, M. Piechal i W. Orłowski) jest dziełem redakcji Kazimierza A. Lewkowskiego.

Teatr Powszechny w Łodzi; Lope de Vega: „Pies ogrodnika", Komedia w 3 aktach; Przekład: Tadeusz Peiper; Reżyseria: Tadeusz Żuchniewski; scenografia: Henri Poulain. Premiera 2 lipca 1966 r.

Z TEKI GRAFICZNEJ WIESŁAWA ŚNIADECKIEGO

Brzeziny. Fara.

Poddębice. Dwór XV w.

Łęczyca. Tum.

---

my motor gdzieś zagubieni w wysokich górach. Gdy wreszcie dojechaliśmy, wszystko już było nierealne i światło, i choinka, i tort, i skrzypce czekoladowe. Wszyscy coś mówili, potem krzyczeli. Sople za oknami świeciły. I nagle wuja (szwagra) wyniesiono.

Ojciec walczył o sprawiedliwość. Udoskonalał formy walki. Gdy metalowy piesek, upuszczony przez panią Z. z drugiego piętra, upadł na moją głowę, która znajdowała się wówczas na podwórzu, ojciec postanowił odbyć z panią Z. dłuższą konferencję. Pewnego wieczora, gdy rana na mojej głowie była już zagojona i w ten sposób zagadnienie stawało się obiektywne, wyciągnięto jakieś bardzo pozytywne wnioski z tej konferencji, a babka zaczęła od tego czasu powtarzać: — Ta lafirynda już się pewnie nigdy nie ustatkuje... — Zajęci zabawą i nauką nie dosłyszeliśmy pointy. Ale kłanialiśmy się odtąd pani Z. jeszcze grzeczniej.

Konstrukcja i forma dzieła, jego styl to są rzeczy, które walają się na ulicy. Najprostszy piec kaflowy jest dziełem konstrukcji i formy.

Ojciec pamiętał o tym. Badał te sprawy bardzo szczegółowo i to właśnie, te wrodzone skłonności analityka i filozofa stały się jego główną bronią w walce o sprawiedliwość.

Jak do tego doszło, że napisał dramat — trudno powiedzieć. Zapewne stracił wiarę w skuteczność natychmiastowego działania. Chciał przerzucić się nieco w przyszłość i emanować swoje idee dalej i szerzej. A cała powiastka z tą jego wesołością wydaje się nieco naciągnięta.

Po śmierci żony stał się raczej smutny. Optymizm, o który go posądzano, był na pokaz. W każdej sytuacji chciał być mocny. Można by to nazwać pychą, można jeszcze inaczej. My w każdym razie nie zastanawialiśmy się nad tym.

Teraz, wznosząc toasty w skromnym gronie przyjaciół, wtajemniczonych w całą sprawę, zapominamy o tamtej walce, myślimy o przyszłości. To jest piękne. Chcemy pomóc naszemu ojcu. Nikt z obcych nie zjawia się, sytuacja bowiem jest dla nich niezręczna: nie wiadomo czy składać gratulacje, czy kondolencje. My wszelako weselimy się. Pijemy i przymrużamy oko. Każdy wie, co to znaczy. Nie byłaby od rzeczy jakaś mówka. Czujemy to. Na wargi cisną się słowa piękne i słowa wielkie. Takie, które z głębi wywodzą swój rodowód i powinny głęboko dotrzeć. Sprawiedliwie oceniamy szanse, każdy swoje. Nie niszcząc podniosłości chwili, trzeba ją okiełznać, wejść w nią i wypowiedzieć to najistotniejsze. Każdy łamie się, oczywiście ze sobą, w wyniku czego ktoś z nas wstaje. Głos jego brzmi ciepło, wzruszenie w nim wibruje: — Chcemy dopomóc artyście (naszemu ojcu). Życie jest krótkie (człowieka). Zresztą to nie jest takie ważne. (Zastanawiamy się). Ważniejsze jest to, co po tym życiu pozostaje. (Ciekawe. A co ma pozostać?). Konkretnie chodzi o dzieło ludzkie. (Aha). Nie zawsze jest tak jak byśmy chcieli. (No oczywiście). Nie zawsze jest tak, jakby artysta tego pragnął. (Hmm). Artysta po śmierci staje się nieśmiertelny. (Słychać skrzypnięcie butów w pokoju ojca). Jasne, że to, co pozostaje, to znaczy gatunek, nie zawsze wystarczy człowiekowi. (Jesteśmy wzruszeni). Artysta nie może się z tym pogodzić. Chce być sam jeden odpowiedzialny za swoją nieśmiertelność. Po-je-dyn-czo. Tak! Ale my możemy mu pomóc. (Wzdychamy). Pomogliśmy już częściowo. (Słychać skrzypienie butów w pokoju ojca).

Zapadło głębokie milczenie. Tylko brzęczenie muchy przerywa je poniekąd. Ona siedzi na żarówce i głowę zadziera. Nagle, ktoś się porwał! Chwyta kielich. Wznosi toast. Niech żyje! W pokoju ojca zatrzeszczało. Znów nikt nie usłyszał.

Delikatnie, żeby nie psuć ogólnej wesołości, wymykam się. Wchodzę. Ojciec siedzi oparty o biurko. Blask latarni oświetla mu głowę. Odwrócił się. — Czego chcesz? — pyta cicho.

— Chciałem ci powiedzieć...

— Już wszystko wiem.

— Chcieliśmy zrobić ci niespodziankę; gdy przyjedziesz, sądziliśmy, będzie już po wszystkim. Pogłoska, że autor zmarł, dodaje pikanterii przedstawieniu. Lepsze recenzje...

— Rozumiem — uciął krótko.

Zamilkłem. Długo trwała kłopotliwa cisza. Podniósł się ciężko.

— Trafiliście w sedno sprawy — powiedział ze smutkiem. — Tak to powinno wyglądać. Inaczej oceniamy zmarłych, a inaczej żyjących. Kredyt udzielony mi — zobowiązuje.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — krzyczę. Pogłaskał mnie po głowie. Znów stałem się małym chłopczykiem, który nie chce uczyć się niemieckiego i matematyki. Oto siedzę na ziemi z ogromną cegłą w ręku i liczę jej powierzchnię.

— W ten sposób nauczysz się — mówi ojciec, oglądając niebo przez komin.

Jest mi smutno. Wiem, że ma rację, ale jego racja jest okrutna.

— Są i inne sposoby, ale ten jest dobry.

Chce mi się płakać. Słońce świeci, a tu cały kurz świata zamknięty w czterech ścianach.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — krzyczę.

On milczy. Bada konstrukcje i komponuje przeloty światła.

— Chciałbym, żebyś został tym, czym ja nie mogę. Jesteś przedłużeniem moich pragnień.

— A te piece? — pytam.

— Nie wierzę w ich trwałość.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — krzyczę.

Znalazł przelot, spojrzał. Z sąsiedniego pokoju podniosły się okrzyki. Wiwaty.

— Ale przekonaliście mnie. Popchnęliście sprawę zbyt daleko, bym mógł zawrócić. Trzeba wykorzystać i tę szansę. Zobaczymy, która będzie właściwsza. A może obie? Ale ucisz ich! — krzyknął. Obrócił się i ubrał kombinezon.

Chciałem ich uciszyć. Bezskutecznie. Głośno opłakiwali śmierć mego ojca. Za chwilę wykrzykiwali niech żyje.

Gdy wróciłem ojca już nie było. Siostra wreszcie pomyła talerze.

Be Be na półmetku...

Okazuje się, że życie czasem przypomina film, pod warunkiem, oczywiście, że to czy się ono w odpowiedniej scenerii z udziałem wyższych sfer społecznych, a jeszcze lepiej autentycznych gwiazd filmowych. Taki film „z życia", który właśnie chcemy naszym drogim Czytelnikom zaprezentować, odbiera się najlepiej w okresie kanikuły. W rolach głównych Brigitte Bardot, ongiś wcielenie nowoczesnego seksu, dziś (uwaga nastolatki) ideał liryczno - sentymentalnego dziewczęcia z epoki wczesnego romantyzmu oraz Gunther Sachs, najpiękniejszy (polegamy na guście i doświadczeniu BB), milioner, słynny play-boy, adorator Sorayi i wielu, wielu innych, obecnie romantyczny i wierny kochanek. Część finałową, najważniejszą reżyserował w duchu absolutnego happy-endu, sam Ted Kennedy.

Akcja rozpoczyna się w ekskluzywnej francuskiej miejscowości Saint-Tropez będącej czymś w rodzaju skrzyżowania Sopotu ze Złotymi Piaskami. W tej pięknej i modnej miejscowości, BB i Gunther spędzali już od 12 lat chwile wolne od innych zajęć. Mieli własne wille i plaże, ale cóż z tego, kiedy nie poznali się jeszcze wzajemnie. Gunther nie należał wcale do wielbicieli francuskiej gwiazdy i nie chodził na jej filmy. Aż właśnie w tym roku nastąpiło spotkanie. BB twierdzi, iż tak chciało przeznaczenie, że było im to pisane w gwiazdach.

Całe moje życie — twierdzi BB — było szeregiem etapów na drodze do tej miłości. Czuję się szalona i spokojna zarazem, po raz pierwszy pogodna, oczarowana. Czuję się jak u kresu długiej podróży. Oczekiwałam tego przez całe życie i po raz pierwszy mi się to przydarzyło.

Potem oczywiście dodaje, że Gunther jest zupełnie inny niż wszyscy mężczyźni:

Posiada mnóstwo zalet, a ponadto poczucie cudowności. Potrafi się wszystkim zdumiewać i cieszyć. Z nim wszystko jest możliwe. To najpiękniejsza historia miłosna jaką znam. Czuję się jak w bajce. Gunther jest prawdziwym czarującym księciem. — ostatnim.

To wyznanie BB, złożone prasie utwierdziło nas w mniemaniu, iż miłość francuskiej aktorki i niemieckiego przemysłowca, wdowca z 7-letnim synem — ma charakter niezwykły i wyjątkowy. Gunther mówi z kolei, że Bardotka przyniosła mu niesłychane szczęście. Wszystkomu się nadzwyczajnie wiedzie. W Monte Carlo, na przykład, w ciągu 20 minut wygrał 23 miliony. Tak to miłość cuda czyni.

BB zaś wyzbyła się swych lęków, nie unika już ludzi, nie przebiera się, nie zamyka przed światem w swej luksusowej willi. Wprost przeciwnie, szczęśliwa i uspokojona demonstruje z wdziękiem, swoją radość gwoli zadowoleniu wszystkich.

Życie dwojga kochanków, poza patrzeniem sobie w oczy i trzymaniem się za ręce, upływa wśród licznych zajęć i rozrywek. Młody człowiek jest, jak już wiemy, pełen fantazji, a i stać go na to, by tej fantazji zadośćuczynić. Odbywają więc spacery samolotami, polują, strzelają, pływają na ślizgaczach i mkną na wodnych nartach. Na bale kostiumowe chodzą w identycznych strojach (np. przebrani za wampiry) i kupili sobie dwa identyczne Rolls-Royce. W czerwcu Gunther porwał Brigitte (jak przystało na germańskiego księcia) do Bawarii, pełnej malowniczych zamczysk i uroczych zakątków. Po drodze witały ich orkiestry w ludowych strojach, a nocą pod oknami Bardotki rozkwitały bukiety sztucznych ogni. Ponieważ w miłości wszystko jest możliwe, jak powiedział Gunther Sachs, pewnego historycznego dnia, a było to 7 lipca 1966 r. o godzinie 4 nad ranem, postanowili się pobrać. Natychmiast wyciągnęli zatem mapę świata i zaczęli szukać stosownego miejsca dla tak uroczystej ceremonii. Chodziło m. in. także o wprowadzenie w błąd wścibskich dziennikarzy. Wybrali Las Vegas — miejscowość słynącą kasynami gry i nocnymi lokalami. Ponieważ jednak oboje niezbyt dobrze znają Amerykę, zwrócili się o pomoc do przyjaciela Guntnera — Teda Kennedy. Ten zajął się wszystkim bardzo gorliwie i jemu zawdzięczamy radosny finał tej wzruszającej historii. Bardotka przyznaje, że jej małżeństwo odbyło się w stylu filmów Jamesa Bonda. I rzeczywiście. Ogromną rolę odegrała w nim nowoczesna technika. Odrzutowym samolotem mknęli 14 godzin z Paryża do Los Angeles. Towarzyszyła im czwórka wiernych przyjaciół — świadków miłości i małżeństwa. Na lotnisku w Los Angeles dzięki przezorności Kennedy'ego, czekały już na nich dwa prywatne samolociki, coś w rodzaju latających Ferrari, które w ciągu 35 minut przewiozły ich do Las Vegas. Tam oczekiwały ich dwa czarne Cadillaki, które bezszelestnie dowiozły dwoje zakochanych do miejsca przeznaczenia, czyli przed oblicze stosownego urzędnika, który ze zrozumiałym wzruszeniem udzielił im ślubu i pobłogosławił młodej parze. A stało się to tuż po północy 14 lipca 1966 roku. Młodzi małżonkowie wraz z przyjaciółmi udali się do kasyna, Brigitte chciała postawić na czternastkę, ale okazało się, że nikt z całej paczki nie miał przy sobie pieniędzy. Tak to i milionerom brakuje czasem drobnych. Gunther zdobył więc BB w rocznicę zdobycia Bastylii, jak zauważyła dowcipnie sama panna młoda. Ona miała na sobie króciutką suknię — koszulkę koloru fiołkowego, on granatową marynarkę i białe spodnie. Ted Kennedy przysłał im ogromny bukiet biało-różowego bzu. Po ślubie śmiano się, płakano, pito szampana. Młodzi małżonkowie pijani byli szczęściem i miłością i nie odczuwali nawet zmęczenia po tylogodzinnej podróży. Wpatrywali się w siebie z uwielbieniem, wymieniając miłosne wyznania, co nie uszło uwagi bystrych dziennikarzy, którzy jakimś cudem znaleźli się jednak w Las Vegas. Gunther powtarzał, że Brigitte jest kwintesencją wszystkich kobiet, a ona również wygłaszała jak najbardziej pozytywne sądy na jego temat. Bardzo się też dziwili, że ślub, który dał im tyle szczęścia, kosztował tak mało, bo tylko 7 dolarów. „Nic nie jest zbyt drogie dla ciebie — powiedział Gunther. Podaruję ci najdroższy na świecie dywan latający. Podaruję ci wszystko, czego tylko zapragniesz. Gdzie chcesz pojechać?

— Na Tahiti — odpowiada BB:

— Zgoda, jedziemy.

— Świetnie, jutro jedziemy.

— Nie, mówi Gunther, jedziemy natychmiast.

Niestety, nie byliśmy ani w Saint-Tropez, ani w Las Vegas, ani nawet na Tahiti szampana też nie piliśmy, ale opowiedzieliśmy wam dokładnie to wszystko, co nam naoczni i wiarygodni świadkowie na piśmie przekazali.

(M.)

KRONIKA Antytelewizyjna

TEATR I PIŁKA

Ubiegły tydzień stał pod znakiem teatru i piłki nożnej. Mieliśmy aż trzy przedstawienia: w poniedziałek „Ucieka mi przepióreczka" Żeromskiego, w czwartek powtórzenie „Stawki większej niż życie", w piątek „Śniadanie na trawie" i wreszcie w sobotę również powtórzenie „Romansu pani majstrowej" starego Rapackiego. O powtórzeniach pisać nie ma potrzeby, powiem tyle, że obydwa przedstawienia, choć już znane, oglądało się z zainteresowaniem, a nawet z przyjemnością.

Prawdziwym wydarzeniem była prezentacja „Przepióreczki" z Teatru Narodowego. „Przepióreczkę" widziałem na scenie wielokrotnie w wykonaniu rozmaitych aktorów, od Osterwy poczynając (przed wojną, rozumie się) a na Zbirógu kończąc. „Przepióreczka" jest sztuka trudna dla dzisiejszego aktora. Pełna patosu i błąkających się ech młodopolszczyzny zawiera zasadzki, przez które tylko najwybitniejsi, najbardziej wytrawni aktorzy potrafią przebrnąć. Wystawiona w teatrze prowincjonalnym, nie posiadającym odpowiednich sił artystycznych, sztuka ta staje się „piła" nie do strawienia. Muszę powiedzieć, iż Gustaw Holoubek jako Przełecki jest najlepszym od czasu Osterwy interpretatorem tej postaci. Dla niego oglądało się to warszawskie przedstawienie i jego się słuchało. Pyszni byli także profesorowie (rola w rolę jak obszył), nie bardzo natomiast trafiła mi do przekonania księżniczka Sieniawianka w wykonaniu Haliny Mikołajskiej. Aktorka znakomita, bez kwestii, ale rolę swoją rozegrała tym razem na jednej nutce — jak sądzę, nutce niewłaściwej.

Za pozycję nieudaną, w sensie widowiska telewizyjnego, należy uznać zbiór opowiadań różnych autorów pod wspólnym tytułem „Śniadanie na trawie", w reżyserii i z udziałem Wojciecha Siemiona. Wyjąwszy opowiadanie Janusza Krasińskiego „Skarga do Obywatela Przewodniczącego Rady Państwa", w którym autor opowiedział ważną sprawę i opowiedział ją w sposób literacko niebanalny, pozostałe utwory okazały się po prostu nudne i nie wytrzymały próby „szklanego okienka". A już nieznośny staje się Ernest Bryll, który coraz bardziej popada w maniere, a ponadto zbyt często sam siebie eksploatuje w telewizji.

O fascynujących audycjach z mistrzostw świata w piłce nożnej pisała już prasa codzienna i tygodniowa. Zresztą mistrzostwa zostały zakończone, znamy drużyny zwycięzców. Na co warto przy tej okazji zwrócić uwagę, to na prace sprawozdawców angielskich. Mam na myśli sprawozdawców-kamerzystów telewizyjnych. To był pokaz, jak należy operować kamerami, aby telewidz nie uronił niczego, co jest istotne i co obejrzeć należy. Każda ważna sytuacja na boisku została uchwycona i pokazana. Dodajmy: uchwycona w porę, ciekawsze zagrania, spięcia, skomplikowane operacje podbramkowe — wszystko było „ujawnione" przez kamery

po mistrzowsku. Boże, jakżeci nasi kamerzyści bledną przy takich porównaniach! Nie wiem, czy ktoś wpadł na myśl, aby zorganizować zbiorowe seminarium kamerzystów i nakazać im obowiązkowo obserwować prace ich angielskich kolegów w czasie mistrzostw świata. Jeśli się weźmie pod uwagę, jak niedbale funkcjonuje u nas strona techniczna (dowodów mieliśmy ostatnio pod dostatkiem), nie wykorzystanie tej wspaniałej lekcji zapisać wypadnie na jeszcze jeden minus dla TV.

Z programu niedzielnego poza świetnym filmem Pietro Germi „Pod niebem Sycylii", dwie pozycje nie powinny pozostać bez echa. Po pierwsze: audycja poświęcona pamięci Boya-Żeleńskiego (w opracowaniu Grzegorza Lasoty), i po drugie: montaż poetycki, poświęcony 22 rocznicy Powstania Warszawskiego. Niewątpliwie o powstaniu będzie się w ciągu sierpnia wiele pisać i mówić. Montaż poetycki w telewizji był jakby akordem wstępnym do tych tragicznych wspomnień. Dobre teksty i doskonałe ich wykonanie przydały audycji prawdziwie pięknego blasku.

ZASTĘPCA

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

ROZRYWKA CZY OBSESJA

Jugosłowiańska miejscowość wypoczynkowa. Narty wodne, jakiś flirt na motorówce. To tylko migawki. Za chwilę — poczekalnia na lotnisku. Rodzina Jasselinów — dwóch mężczyzn i trzy kobiety — szykuje się do odlotu do Szwajcarii. W ostatniej chwili zostają zatrzymani. Z morza wyłowiono ciało zamordowanego człowieka. To właśnie z nim flirtowała jedna z trzech kobiet. To właśnie z nim siedziała w motorówce, podczas gdy jej mąż ślizgał się na nartach. Jasselinowie protestują. Są przemysłowcami, interesy czekają. Ale protesty są bezskuteczne. Śledztwo w toku. Do jego ukończenia muszą pozostać na miejscu. W ten sposób wprowadza się nas do starej, dobrze znanej gry pod tytułem: kto zabił? Gra nazywa się tym razem „MORDERCA NA URLOPIE" i jest filmem jugosłowiańsko-niemieckim.

Kto jest mordercą? Może mąż zazdrosny o swą żonę? W mieszkaniu zabitego znaleziono pornograficzne zdjęcia pani Jasselin, synowej szwajcarskiego przemysłowca. Policja szuka obciążających dowodów. Po nitce do kłębka — są więc u fotografa, który robił odbitki, potem zabierają nieoczekiwanie aparat pani Jasselin, którym robiono owe pornograficzne zdjęcia. Wykonanie odbitek znajdującej się w nim błony fotograficznej przynosi rewelacyjne wyniki. Wyjęta z wywoływacza fotografia przedstawia Jasselina sprzed dwudziestu z górą lat w nieoczekiwanym wcieleniu. Oto on — w mundurze SS, komendant obozu koncentracyjnego w Norwegii. I jego prawdziwe nazwisko: Meyer, figurujące na liście zbrodniarzy hitlerowskich. Sprawa nabiera więc innego charakteru. Może to szantaż? Czyżby szantażowany Jasselin alias Meyer zabił szantażystę?

Odtąd widz staje się mądrzejszy od prowadzących śledztwo. Oni mają tylko poszlaki i własne domysły. Widz jest ponadto świadkiem retrospekcji. Wspomnienia Jasselinów nie pomagają jednak orzec, kto jest zabójcą. Przeciwnie — poszerzają krąg podejrzanych. Oto awantura rodzinna: Waleria — synowa Jasselina, niewierna żona dowiaduje się o szantażu. Oto kłótnia i bójka Walerii z kochankiem. I obietnica: „zabiję cię". Jest jeszcze jedna podejrzana kobieta: żona Jasselina, która niedwuznacznie dała do zrozumienia rodzinie, że trzeba zabić szantażystę, aby uniknąć wydatków i dalszych komplikacji. Wygląda na kobietę zdolną do takiego czynu.

Równolegle toczą się więc dwie sprawy: ta o niedawno popełnione morderstwo i znacznie poważniejsza — o zbrodnie hitlerowskie. Za wszelką cenę należy zatrzymać Jasselina, dopóki Norwegia nie zażąda ekstradycji. Jeśli wyjedzie do Szwajcarii, sprawiedliwość nie dosięgnie go nigdy. I chociaż wiadomo w końcu, kto jest mordercą, władze jugosłowiańskie przeciągają śledztwo, aby zatrzymać zbrodniarza wojennego.

Ta dwutorowość akcji nie wyszła filmowi na dobre. Twórcy nie umieli się zdecydować, co wybrać; typową, niezbyt skomplikowaną rozrywkę kryminalną, czy film zaangażowany politycznie, o wartościach wychowawczych. W rezultacie powstało ni to, ni owo. Jak mówi przysłowie — nie można dwóch srok za ogon łapać. „Morderca na urlopie" jest złą rozrywką i złym filmem zaangażowanym. Fatalne dialogi, beznadziejny rysunek psychologiczny postaci, stereotypowość i wulgarne moralizatorstwo czynią ten film przedsięwzięciem chybionym całkowicie.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

TAJEMNICA NAJPIĘKNIEJSZEJ KOBIETY ŚWIATA

■ Raquel Welch, po Ursuli Andress lansowana przez filmowców Hollywoodu jako najpiękniejsza kobieta świata, robiła wrażenie, że w jej życiu osobistym kryje się jakaś tajemnica. Raquel o wspaniałej urodzie, nieco dzikiej, utrwaliła swe powodzenie występując w filmie „Milion lat przed Chrystusem". Grała dziką kobietę i widzowie nie usłyszeli ani jednego artykułowanego dźwięku z jej ust. Wydawała tylko okrzyki w rodzaju: „Grr! Grr! Raaaaa oooooor!" i tym podobne. W życiu codziennym Raquel wydała się dziennikarzom miła, szczera, jeśli palnęła jakieś głupstwo sama się z siebie śmiała, i nic w niej nie było z tajemniczości, a jednak... natychmiast milkła jeśli ktoś pytał o jej życie osobiste. Nigdy nie mówiła o sobie, jej menager ostrzegał dziennikarzy, aby nie zadawali jej tego rodzaju pytań, gdyż aktorka nie będzie na nie odpowiadać. Podniecało to ciekawość węszących sensację dziennikarzy. I kiedy, Raquel Welch przyjechała do Włoch by nakręcić film z Vittorio de Sica wścibscy dziennikarze dołożyli wszelkich starań by wydrzeć tajemnicę najpiękniejszej kobiety świata. Zauważyli oni mianowicie, że równocześnie z przybyciem aktorki do Rzymu, w pewnej willi położonej niedaleko Appia Antica, pojawiło się dwoje amerykańskich dzieci w wieku lat sześciu i czterech, Jerry i Jennifer. Ciekawscy Włosi tak długo krążyli i węszyli wokół willi, aż wreszcie doszli tajemnicy skąd się te dzieci wzięły i kim są. Otóż jedna z przyjaciółek amerykańskiej aktorki, wygadała się wreszcie że są to dzieci Raqueli Welch. To wystarczyło dziennikarzom by zdobyć dalsze szczegóły z życia Raqueli. Otóż okazało się przede wszystkim, że aktorka zobowiązała się w kontrakcie podpisanym z Hollywood, nie ujawniać przed nikim że jest matką dwojga dzieci. Raquel Welch — jak dowiedzieli się wścibscy dziennikarze — urodziła się w stanie Illinois w 1940 roku. Wyszła za mąż w czasie, gdy była tancerką w kabarecie w Las Vegas. Rozwiodła się z mężem w roku 1962. Tajemnice jej życia osobistego Hollywood nie chciał ujawniać przed zakupem przez Europę filmów, w których Raquel występuje (m. in. „Fantastyczna podróż"), w obawie, że wiadomości te wpłyną na zmniejszenie popularności aktorki. Dla Hollywoodu było to tym bardziej ważne, że na jej wylansowanie wydano ogromne pieniądze.

Raquel Welch

UWAGI O FILMIE KANADYJSKIM

■ Tygodnik „Les lettres francaises" zamieścił ostatnio interesujący artykuł o kinematografii kanadyjskiej. I tak, dowiadujemy się, że kanadyjska kinematografia, zwłaszcza do roku 1960 należała do jednej z najsłabiej rozwiniętych. Jest pewnym paradoksem, że ilekroć mówiło się o niedorozwoju przemysłu filmowego, miało się zazwyczaj na myśli kraje Afryki lub Ameryki Łacińskiej, nigdy zaś Kanadę. Mówiąc o kinematografii należy jednak pamiętać, by rozgraniczać produkcję filmową od sprawy rozpowszechniania filmów. Pod tym ostatnim względem Kanada mogła od dawna poszczycić się znacznymi sukcesami. Np. w roku 1960 istniało w tym kraju dwa tysiące sal kinowych, do których uczęszczało 150 milionów widzów, co równało się statystycznie 10 biletom sprzedanym na głowę mieszkańca. Filmy sprowadzane do Kanady pochodziły w znacznej mierze z Hollywood. Według danych UNESCO, w roku 1959 spośród 651 długometrażowych filmów fabularnych, 350 sprowadzonych było ze Stanów Zjednoczonych. W tym to czasie na ekranach kanadyjskich pojawił się jeden tylko film rodzimej produkcji. W ciągu lat 1945—1960 nie wyprodukowano w Kanadzie przeciętnie nawet jednego filmu rocznie, wtedy gdy w tym samym czasie takie kraje jak Grecja, Turcja, Egipt lub Hiszpania produkowały ok. 100 filmów w ciągu każdego roku.

Na trudności rozwojowe filmu kanadyjskiego wpłynęła ujemnie pruderyjna cenzura. Nie było wolno wyświetlać żadnych filmów, których tematem były problemy miłości pozamałżeńskiej. Doszło także do praktyki wycinania scen, wyciemniania w czasie projekcji, lub co dość zabawne, w miejsce takich „podejrzanych" scen wklejania do filmu wstawki. Wstawka ta była zawsze jednakowa, ukazywała męską rękę wsuwającą ślubną obrączkę na serdeczny palec kobiecej dłoni. Po takiej wstawce kochankowie, uwolnieni od zarzutu miłości pozamałżeńskiej, mogli już się kochać bez przeszkód. Ten stan zaostrzonej cenzury moralnej trwał dość długo i zaczął się zmieniać dopiero wtedy, gdy do głosu zaczęła dochodzić nowa generacja.

Na zmianę sytuacji w przemyśle filmowym Kanady wpłynęły generalnie festiwale organizowane w Montrealu w latach 1960 i 1961. Od tej pory zaczęto wprowadzać różne filmy z różnych krajów. Telewizja, która w innych krajach stała się konkurentką kina, w Kanadzie wprost przeciwnie, wywołała głębokie i dodatnie zmiany w przemyśle filmowym. Konieczność przygotowywania filmów przeznaczonych dla telewizji oraz zastosowanie najnowszych osiągnięć technicznych przy produkcji filmowej, zrewolucjonizowało dotychczasowy stan rzeczy. Za rozwojem produkcji filmowej telewizyjnej zaczęła się szybko rozwijać i ożywiać produkcja długometrażowych filmów fabularnych, przeznaczonych na ekrany kin. Wkrótce ujawniły się takie talenty filmowe jak Michel Brault, Pierre Perrault, Gilles Groulx, Wolf Koenig, Roman Kroitor i inni. Filmami, które zwróciły na siebie uwagę krytyki światowej, stały się „Lonely boy" (poświęcony śpiewakowi Paul Anka), „Winter kept us warm" dwudziestopięcioletniego Davida Sectera i „Nobody waved good

„BAJKI Z TYSIĄCA, I JEDNEJ NOCY" Z... WIDELCÓW I ŁYŻEK

■ Habbah, artysta z Bagdadu, tworzy oryginalne wizerunki z łyżek i widelców. Są to scenki będące ilustracjami fragmentów „Bajek z tysiąca i jednej nocy". Ostatnio te niezwykłe obrazki Habbah pokazał na wystawie w Monachium.

IKEBANA I JAPOŃSKIE MALARSTWO

■ W żadnym kraju sztuka układania kwiatów nie ma tak wielowiekowej tradycji i nigdzie nie doszła do takiej perfekcji jak w Japonii. Przypuszczalnie wraz z wprowadzeniem buddyzmu sztuka układania kwiatów — ikebana, zawędrowała do Japonii i stała się tam typowa japońska sztuka, której dzisiaj ucza w szkole, w domu i na uniwersytecie.

Dzieła ikebany to sztuka dająca nie mniej wrażeń estetycznych niż malarstwo, czy rzeźba. Z niesłychanym gustem dobrane gałązki, kwiaty, rośliny ozdobne, zawsze coś symbolizujące (np. ziemię człowieka, niebo, lub pojęcia ogólne jak harmonię lub wzajemną miłość) umieszczane są w pięknych wazach, konsolach, najrozmaitszych naczyniach z ceramiki wypełnionych wodą lub piaskiem.

Takie dzieła japońskich artystów można obejrzeć w Paryżu wraz z grafiką i malarstwem z okresu od 17 do 19 wieku.

Wystawa mieści się w Luwrze, a zatytułowana jest „Images du temps qui passe" (Obrazy przemijającego czasu). Ta wyjątkowa i po raz pierwszy tego rodzaju zorganizowana wystawa doszła do skutku dzięki inicjatywie jednego z japońskich dzienników, któremu udało się namówić rodzimych kolekcjonerów na pokazanie ich bogatych zbiorów w Paryżu. Ponieważ grafiki nie mogą być przez dłuższy czas wystawione na światło, gdyż papier traci swój właściwy kolor, zmieniane są w trakcie trwania wystawy. Obrazy malowane są farbami pochodzenia mineralnego, grafiki zaś sporządzane są przy użyciu farb pochodzenia wyłącznie roślinnego.

Utamaro: Kurtyzana (1790).

Tematyka obrazów jest bardzo różna i bogata: sceny z życia dworskiego (jak festyny na rzece, uroczyste przyjęcia), portrety dam, pięknych gejsz i kurtyzan, obok tego sceny kuchenne, krajobrazy z dość częstym motywem mostów i wulkanów, wreszcie plakaty teatralne.

SPOTKANIE AUTORSKIE JEWTUSZENKI

■ Ostatnio radziecki poeta młodej generacji, Jewtuszenko odbył autorskie spotkanie ze swymi czytelnikami, którzy w liczbie dziesięciu tysięcy przybyli na moskiewski stadion.

Cały dochód ze spotkania przeznaczono dla ofiar trzęsienia ziemi w Taszkiencie.

KIM JEST AUTOR SZTUKI PT. „KTO SIĘ BOI WIRGINII WOOLF?"

■ Edward Albee, autor sztuki pt. „Kto się boi Wirginii Woolf?", nie zna swoich rodziców. Urodził się 12 marca 1928 roku w Waszyngtonie. Gdy miał dwa tygodnie, został adoptowany przez menagera teatralnego o nazwisku Reed Albee. Przybrany syn żył w prawdziwym luksusie. Miał niańkę i wychowawców, szofera i Rolls Royce'a do własnej dyspozycji, zabawki i wielkiego psa. I jednego mu tylko brakowało — czułości matki. Bowiem uczucia tego nie mogła mu zapewnić żona Reeda, Frances, kobieta piękna, ale wiecznie zajęta w rozmaitych klubach. Jedynie babka Reeda, Cotta, rozumiała osamotnienie małego Edwarda i starała się jak mogła, otoczyć go opieką.

Młody zaś Albee wyrastał na dziwnego chłopca. Nie mógł zagrzać długo miejsca w żadnej ze szkół. Nie był leniwy, ani psotny, ale zwykle po jakimś czasie uczęszczania do szkoły oznajmiał, że więcej do niej nie pójdzie. I nie było siły, by go od tego postanowienia odwiodła. Zmieniał więc szkoły. W jednej z nich, w Choate, nauczyciel zwrócił uwagę na tego milczącego chłopca. Edward pokazał mu swe wiersze, jakie pisywał od szóstego roku życia. Nauczyciel, a nazywał się on Charles Rice, od razu dostrzegł w chłopcu talent. Zachęcił więc Edwarda do dalszego pisania. Gdy Edward Albee ma lat 17, pisze swą pierwszą sztukę teatralną. Nie był to jednak żaden rewelacyjny utwór. Wkrótce Edward opuszcza szkołę w Choate. Niedługo zacznie już samodzielne życie. Umiera babka Cotta, zostawiając mu w spadku 100 tysięcy dolarów. Ale Edward nie może ich ruszyć przed ukończeniem lat trzydziestu, na razie musi się zadowolić rentą w wysokości 50 dolarów tygodniowo.

Edward Albee przenosi się do Nowego Jorku. Zgodnie z amerykańską tradycją, która wymaga, aby adept sztuki pisarskiej poznał kilka zawodów nim weźmie się do prawdziwej pracy pisarskiej, Albee sprzedaje płyty, książki, jest gońcem w biurze i roznosicielem depesz. Po pracy pisze. Głównie poezje. Żadne pismo nie chce go jednak drukować. Nie zraża się tym i zaczyna pracować nad powieścią. Nie kończy jej jednak. Rzuca na papier szkice kilku dramatów, ale żadnego nie opracowuje. Wreszcie pisze sztukę pt. „The Zoo Story". Dzieło to kończy, a jego przyjaciel Flanagan odsyła rękopis do Florencji do znajomego kompozytora Davida Diamonda. Kompozytora sztuka ta zainteresowała. Teraz tekst z kolei wędruje z rąk Diamonda do jego znajomego berlińskiego reżysera teatralnego. I oto w dniu 28 września 1959 roku Edward Albee jest na prapremierze swej sztuki. Dramat odnosi sukces. Teraz i teatry amerykańskie nie wahają się go wystawiać. Edward Albee staje się autorem znanym. Nie tylko znanym, ale i modnym, chętnie grywanym. Pisze trzy jednoaktówki, a w roku 1962 osiedla się na Fire Island, gdzie w kompletnym odludziu tworzy jeszcze jedną sztukę: „Kto się boi Wirginii Woolf?". Dzięki niej Albee ugruntowuje swą sławę. Recenzent pisma „New York Times" pisze po ujrzeniu „Wirginii": „Widzieliśmy sztukę, która zaznaczyła się w historii teatru amerykańskiego". I odtąd Edward Albee zajmuje miejsce wśród dramaturgów tej rangi co Beckett i Ionesco.

„Kto się boi Wirginii Woolf?" ujrzymy na ekranie. W roli głównej wystąpi słynna amerykańska aktorka Elisabeth Taylor.

CZY MUZEUM STENDHALA BĘDZIE TAM, GDZIE MIESZKAŁ HENRYK BRULARD?

■ Takie pytanie stawia francuska prasa. Bowiem ostatnio miłośnicy twórczości Stendhala domagają się, aby mieszkanie w Grenoble, gdzie spędził wczesne dzieciństwo Stendhal (właściwie Henri Beyle) zostało przeznaczone na muzeum stendhalowskie. Mieszkanie to zostało drobiazgowo opisane przez autora „Pustelni parmeńskiej" w jego autobiograficznej książce pt. „Życie Henryka Brulard".

ZABAWA NA DESZCZOWE POPOŁUDNIE

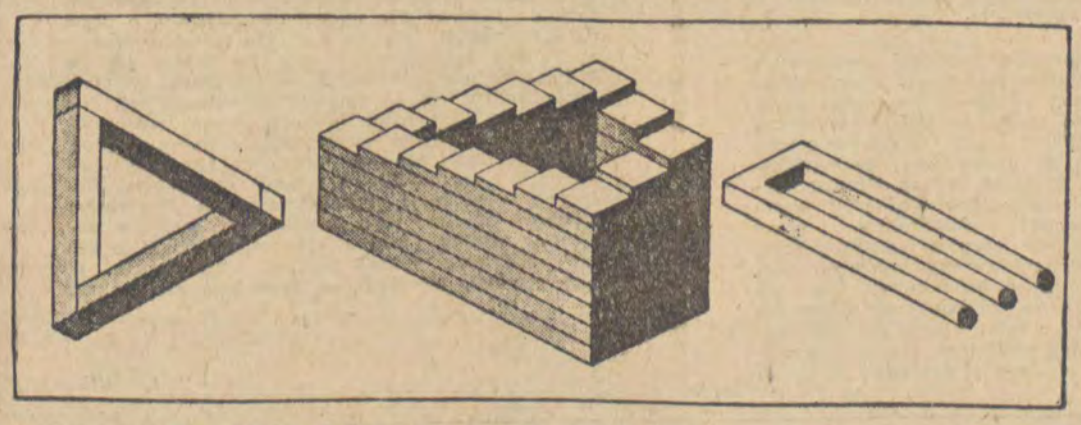

Chcesz dostać kręćka, przyjrzyj się uważnie tym rysunkom!

POLONICA

POLSKIE KSIĄŻKI W NRD

Wśród nowości wydawniczych, jakie ukazały się w Berlinie, mamy do zanotowania kilka pozycji polskich autorów. Przede wszystkim powieść Henryka Sienkiewicza „Krzyżacy", następnie „Czarna Julka" Gustawa Morcinka oraz „...gdy inni dziećmi są" Janiny Dziarnowskiej. Wszystkie te pozycje wydano bardzo starannie, w sztywnych, płóciennych oprawach i z pięknymi ilustracjami w tekście. „Krzyżaków" wznowiono w starym, lecz poprawionym przekładzie, natomiast pozostałe książki przełożył na język niemiecki znany tłumacz Henryk Bereska.

CZESKI KATALOG

Dopiero teraz otrzymaliśmy piękny katalog-kalendarz, jaki wystawcy czechosłowaccy wydali na Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie. Katalog, którego nakładca jest Wyd. Ceskoslovensky Spisovatel w Pradze, ukazał się w języku polskim, na pięknym czerpanym papierze i zawiera spis przekładów pisarzy polskich na język czeski. Głównie chodzi o poetów Tuwima i Gałczyńskiego, których pięknie na język czeski przekłada Jan Pilar. Katalog-kalendarz przyozdobiony został świetnymi rysunkami Adolfa Hofmeistera i przeznaczony — jak głosi napis na okładce — dla polskich przyjaciół.

REFERAT STANISŁAWA KASZYŃSKIEGO

W kwartalniku teatralnym „Maske und Koturn" (Nr 2/3) ukazał się obszerny artykuł Stanisława Kaszyńskiego pt. „Polsko - austriackie stosunki teatralne". Jest to przedruk referatu tego autora, przygotowanego na zjazd teatrologów w Wiedniu, w którym wzięli udział autorzy ze środkowej, wschodniej i południowej Europy. Referat Stanisława Kaszyńskiego, wygłoszony w grudniu 1965 r. na uniwersytecie wiedeńskim, ukazał się obecnie również w oddzielnej odbitce (Sonderdruck), co notujemy z przyjemnością jako sukces naszego krytyka teatralnego.

KRASIŃSKI I BROSZKIEWICZ W AUSTRII

W niedawno opublikowanych zapowiedziach repertuarowych czołowej sceny Wiednia, Burgtheatru, na sezon 1966/1967, odnaleźliśmy jeden polski utwór, a mianowicie „Nieboska komedię" Zygmunta Krasińskiego, która zrealizuje się w opracowaniu dramaturgicznym F. T. Csokora; nie podano nazwisk innych współtwórców spektaklu. Warto przypomnieć, że nasz wielki dramat romantyczny wystawiono po raz pierwszy na tej scenie w roku 1936 również w opracowaniu Csokora i z jego inicjatywy, z udziałem tak znakomitych aktorów jak Werner Krauss (Mąż), Ewald Balser (Pankracy) i Elisabeth Kallina (Żona). Owcześnie pokazano nasze dzieło w ramach tzw. „Głosów narodów w dramacie", był to 10 Wieczór, poświęcony Polsce, w sumie powtórzono 12 razy (od 6 czerwca do 9 września t.r.). Nie wiadomo, czy Csokor dokonał nowego opracowania, dowiemy się o tym niebawem.

W ramach corocznego Festiwalu Letniego (Sommerspiele) w Grazu wystawiono dramat „Koniec szóstej księgi" Jerzego Broszkiewicza w reżyserii Rudolfa Kauteka, w dekoracjach Roberta-Ernsta Jahrena i kostiumach Hanny Wartenegg; jest to prapremiera na obszarze języka niemieckiego.

POLONICA

Mord stulecia

Druga konfrontacja odbyła się kilka dni temu w obecności Daniela Ward'a prokuratora miasta Chicago.

W niewielkim gabinecie stanęli naprzeciw siebie młodziutka Filipinka Corazon Amurao i Richard Speck. Czy przy tej konfrontacji Speck załamał się i od razu przyznał do winy? Tego nie wiadomo. Prokurator zachowuje absolutne milczenie. Na łamy wszedobylskiej, jakże wścibskiej amerykańskiej prasy, też nie przedostały się żadne bliższe szczegóły. Z lakonicznych notatek można jednak się zorientować, że Corazon rozpoznała w tej drugiej konfrontacji zbrodniarza stulecia. Rozpoznała człowieka, który na zimno, zbytnio się nie spiesząc, zamordował 8 chicagowskich pielęgniarek.

Pierwsza konfrontacja Corazon Amurao i Richarda Speck'a odbyła się w bardziej dramatycznych okolicznościach.

Późnym wieczorem do jednego z pokoi sypialnych internatu dla pielęgniarek, ktoś energicznie zapukał. Drzwi uchyliła 23-letnia Corazon. Na progu stanął wysoki mężczyzna w czarnej kurtce. Groźnie wymachując nożem, zażądał od dziewczyny pieniędzy. Potem popchnął ją i wszedł do sypialni. W nowoczesnym internacie przy ulicy Nr 100 w Chicago zaległa kilkugodzinna cisza. To zresztą ulica spokojna, w pewnym sensie mieszczańska. Jedno rodzinne domy stoją tu luźno, oddzielone od siebie ogródkami pełnymi drzew i kwitnących kwiatów.

O 6 nad ranem na balkonie internatu ukazała się młoda dziewczyna w szlafroku.

Drżąc cała, z przerażeniem w oczach, krzyczała do przechodniów:

— Wszystkie moje przyjaciółki zostały zamordowane. O mój Boże, tylko ja jedna zostałam przy życiu. One nie żyją, słyszycie? One już nie żyją...

Kilka godzin później dr Andrew Toman, po dokładnych oględzinach zwłok, wymamrotał:

— To zbrodnia stulecia!

Wraz z „koronerem" do internatu wkroczyli policjanci. Wśród nich Daniel Kelly. Ten 25-letni policjant natknął się pierwszy na rozciągnięte zwłoki Glorii Davy. Przystanął jak wryty. Gloria... studentka szkoły pielęgniarskiej. Policjant znał Glorię, umawiał się z nią. Kelly nakrył ciało dziewczyny ściągniętą z łóżka kołdrą. Po chwili odnalazł drugie ciało w łazience — trzecie, czwarte i piąte w pokoju sypialnym na drugim piętrze. Kelly opowiadał potem, że wydawało mu się, że wszędzie leżą zwłoki, i że wszystko wkoło jest lepkie od krwi. Wypadki tragicznej nocy można było odtworzyć tylko dzięki temu, że Corazon zdołała się uratować. Cień śmierci przesunął się obok, prawie musnął dziewczynę, jednak przeżyła.

Natychmiast odwieziono ją do szpitala i podano silne środki uspokajające. Dopiero wtedy, wciąż słaniając się na nogach, z trudem panując nad szlochem, zaczęła swą relację.

No więc, mężczyzna wdarł się do pokoju z nożem w ręku. Zaraz też wyciągnął pistolet i rozkazał Corazon i jej 2 obecnym w pokoju koleżankom usiąść na podłodze. Uczyniły to. Po chwili związał im prześcieradłem ręce do tyłu i zapytał kto prócz nich znajduje się w budynku. Odpowiedziały, że 3 pielęgniarki śpią w pokoju na drugim piętrze. W tym momencie do sypialni weszły jeszcze 3 pielęgniarki, które wróciły właśnie z miasta. Na widok napastnika chciały się rzucić do ucieczki. Za późno. Drab zagroził pistoletem, pchnął je na podłogę, związał ręce i zakneblował.

Co się działo potem, Corazon nie może sobie dokładnie przypomnieć.

Wie tylko, że mężczyzna rozsiadł się wygodnie na podłodze i zaczął o czymś opowiadać. Już nie pamięta o czym. Być może o pociągu do Nowego Orleanu i o pieniądzach. Dziewczęta były tak przerażone, że nie mogły zrobić żadnego ruchu. Nagle mężczyzna powstał i wyprowadził z sypialni pierwszą pielęgniarkę. Po kilkunastu minutach wrócił i zabrał drugą. W pewnym momencie, kiedy długo nie wracał, Corazon wśliznęła się pod jedno z szerokich, piętrowych łóżek. Zaszyła się w ciemny kąt i przeczekała tam kilka godzin. O 5 nad ranem zabrzmiał w sypialni budzik. Ale nawet wówczas nie odważyła się wychylić. Instynkt podpowiadał jej, że jeszcze na to za wcześnie. Jeśli obcy mężczyzna wciąż kręci się po internacie, to głos budzika, ostry i bardzo donośny, powinien go wystraszyć. Corazon pozostała w ukryciu jeszcze pełną godzinę.

Potem, po ogromnym szoku, wybiegła na balkon.

Jak jednak mogło dojść do tego, aby jeden człowiek mógł pozbawić życia 8 dziewcząt?

Coś takiego nie mogło się przecież zdarzyć. Owszem, zdarzyło się. Dlaczego więc pielęgniarki nie zdobyły się na jakiś spontaniczny akt samoobrony? Czemu nie wzywały pomocy? Czemu się nie broniły? Dlaczego pozwoliły prowadzić się bez oporu na rzeź? Ten fakt powoduje, że mord w Chicago nabiera jeszcze jednego wymiaru. Zastanawia. Zmusza do refleksji. Inspektor Francis Flanagan tak to określił:

— Dziewczęta były sparaliżowane strachem. Przysiadły jak ptaki zahipnotyzowane przez kobrę-okularnika.

W międzyczasie 60-osobowa brygada wytrawnych speców nie próżnowała ani przez chwilę. W pomieszczeniach internatu odkryto 32 różne odciski palców. Porównano je z odciskami w kryminalnych kartotekach wszystkich większych miast Stanów Zjednoczonych. W dwa dni później na konferencji prasowej inspektor Orlando Wilson oświadczył, że o morderstwo jest podejrzany Richard Speck. To 24-letni marynarz, który pracował także jako niewykwalifikowany robotnik. Był już kilkakrotnie karany. Ostatnio odsiedział 18 miesięcy w więzieniu za próbę napadu z nożem kuchennym w ręku na 28-letnią kobietę. Specka zauważono zresztą w Chicago. Możliwe, że szukał gdzieś schronienia.

Ale czy morderca był naprawdę Speck?

— Tak, to on! — wykrzyknęła Corazon, gdy w komisariacie policji pokazano jej fotografię młodzieńca o podłużnej twarzy, krótko strzyżonych włosach i błyszczących oczach. — To on, poznaję go...

Pościg za zbrodniarzem rozpoczął się natychmiast, i objął od razu całe Stany Zjednoczone. Nie wiadomo jednak czy mógłby się skończyć tak szybkim i niespodziewanym sukcesem, gdyby nie pomoc, która jeszcze raz okazała policji Filipinka Corazon Amurao. Dziewczyna ma dobrą pamięć wzrokową. Spostrzegła na ramieniu napastnika tatuaż. Skrzyżowane sztylety, pod nimi credo — Born, to raise hell — „Po to urodzony, żeby wzniecać piekło...". Specka poszukiwano też w Monmouth, jego mieście rodzinnym. Inspektor miejscowej policji Harold Tinder nie krył zdumienia. No tak, Speck był już raz podejrzany o zabójstwo barmanki. Przesłuchiwał go nawet. Ale Speck wydał mu się dobrze ułożonym, bardzo kulturalnym chłopcem, niezdolnym do tego, żeby zabić muchę. Nie, to niemożliwe, aby Speck miał być tym mordercą. Chociaż, któż to może wiedzieć...

Richard Speck został aresztowany w jednym z chicagowskich hoteli. Był półprzytomny, po silnym ataku serca. Istnieją podejrzenia, że próbował otworzyć sobie żyły. Tak przynajmniej sądzą amerykańscy dziennikarze, choć nie mają co do tego żadnej pewności. Informacje, jakie na ten temat przedostają się do zachodniej prasy, są nadzwyczaj skąpe i na ogół ze sobą sprzeczne. Dość, że Speck znajduje się obecnie pod stałą opieką lekarzy. Jest również obserwowany przez psychiatrów. Speckowi zostało już doręczone oficjalne obwinienie o morderstwo Glorii Davy. Dalsze akty oskarżenia będą mu wręczone, gdy stanie przed sędzią śledczym.

Straszliwy mord w Chicago odbił się szerokim echem na wszystkich kontynentach.

Z szuflad wyciągane są stare dokumenty. Czynione są porównania, wyciągane hipotezy. Sprawą zajął się między innymi duży dziennik wychodzący w Sydney, popularny „Sun". Gazeta pisze, że istnieje zadziwiające podobieństwo między zbrodnią w Chicago, a niewyjaśnionym dotychczas morderstwem 2 dziewcząt na jednej z plaż w Sydney. Uczennice zniknęły bez wieści 11 stycznia 1965 roku. Po długich poszukiwaniach ciała 15-letnich dziewcząt odkopano spod grubej warstwy piachu. Na pół rozebrane zwłoki nosiły ślady licznych ran zadanych nożem. Dziennik „Sun" domaga się, aby policja zbadała, czy w styczniu 1965 roku marynarz Speck nie przebywał w Australii.

Jedna z zamordowanych w Chicago pielęgniarek nazywa się Patrycja Matuszek. Jest prawdopodobne, że była Polką z pochodzenia. To przecież w Chicago mieszka prawie pół miliona amerykańskich Polaków.

Kilka dni temu pierwsze publiczne oświadczenie złożył Gerard Betty, adwokat Specka.

— Richard Speck nie przyzna się do winy. Według mnie to szaleniec, więc człowiek niewinny...

Zobaczymy jaki werdykt wydadzą psychiatrzy.

J. B.

Z CYKLU: PORTRETY

RYSOWAŁ — WACŁAW KONDEK

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

SZCZUPAKALIA

Zastawianie sideł na szczygły i wnyków na wiewiórki nie jest jak wiadomo sportem. Dlaczego nie jest? Dlatego, że jeszcze nikt nie wymyślił trafnej i wyczerpującej definicji pojęcia „sport".

Z tego samego powodu zastawianie niezwykle przemyślnych pułapek na leszcze, płotki i pstrągi jest, jak wiadomo sportem. Polega on na jak najchytrzejszym sfałszowaniu barwnej muszki z ostrym harpunikiem w środku, przeznaczonym do skutecznego szarpania wnętrzności ofiary; polega na nęceniu ryb gotowaną pszenicą, po to, aby nazajutrz podsunąć naiwnym stworzeniom w tym samym miejscu taką samą pszenicę z haczykami wewnątrz ziarenek, które wbiją się w podniebienie i rozerwą skrzela; polega na odpowiednim nawleczeniu żywej dżdżownicy na ostrze haczyka, tak żeby wiła się i skręcała jak najenergiczniej i zachęcała polującego okonia do rzucenia się na smakowity kąsek. Na tym polegają sportowe umiejętności wędkarza.

Wiele arcyhumanitarnych zastrzeżeń można by zgłosić do różnych czynności ludzkich. Niektóre z tych czynności usprawiedliwia elementarna konieczność zdobycia pożywienia. Ryb na wędkę nikt jednak nie łowi u nas z głodu, tylko dla zabawy. Ponieważ ryby nie mają głosu i nie krzyczą z bólu — nie budzą w nikim odruchu współczucia, a ich łowienie zaliczamy do sportu, w którego istocie tkwić powinna — jak nas uczono — bezinteresowność i rycerskość.

Nie chcemy, oczywiście, zwalczać wędkarstwa jako tak zwanego ruchu masowego. Wiecie przecież — i ja też wiem — jaka to ogromna przyjemność siedzieć nad wodą, w zieleni, w słońcu lub w cieniu, w śpiewie ptaków i szumie trzcin, w absolutnej, nareszcie uprawnionej bezmyślności. Napisano o tym niejedną piękną stronicę, napisze się jeszcze niejedną. Bez wędkarzy pisma humorystyczne straciłyby dwadzieścia procent tworzywa, nikt by nie zarybiał jezior i rzek, splajtowałby cały skomplikowany przemysł, produkujący cacka-rekwizyty, bębenki, spiningi, błyski i pławiki. A co ze zmywakami? Wiadomo przecież, że zmywaki z żyłki nylonowej wykupywane są właśnie przez wędkarzy, którzy pracowicie je rozplątują i otrzymują normalną żyłkę za parę groszy metr, taką samą, jaka w stanie surowym, przed przerobieniem na zmywak, kosztuje dziesięć razy drożej.

A co z Kołem Miłośników Reportażu przy Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej? Przecież, jak podało „Życie Gospodarcze", to właśnie Związek Wędkarski w Lublinie subwencjonuje i mecenasuje wymienionemu Kołu, powtarzam: Związek Wędkarski, a nie Związek Literatów czy Dziennikarzy. Jaką potęgą jest ów Związek, dowiadujemy się z innej prasowej informacji, podającej, że krajowy zjazd delegatów tej organizacji kosztował milion dwieście tysięcy złotych! Po tysiąc złotych na kiełbia! Nie wyjaśniono niestety, o czym delegaci radzili, tak jak nikt nie zorientował szarych mas czytelniczych parę lat temu, gdy w Warszawie miał powstać Dom Wędkarza, co właściwie będzie się w tym Domu odprawiać? Nie wiem, czy koncepcję budowy domu zarzucono, czy może lada dzień przeczytamy o hucznym jego otwarciu. Będziemy tam jeździć na festiwale podrywaczy, szczupakalia i wiosny spiningowe. Będziemy wymieniać doświadczenia. A tymczasem przemysł zamieni nam resztę rzek, jezior i stawów w brudne, parujące, granatowe ścieki, o których będziemy mówić naszym wnukom: tu, w tym miejscu, wyciągnąłem taaakiego szczupaka...

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 2155 VIII.66. E-2